Zeszyt 5. Lwów dnia 10. Lutego 1879. **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

Prenumerata kwartalnie 3 złr. = 6 mark. półrocznie 6 złr. = 12 mark.

Wychodzi dnia 1go, 10go i 20go każdego miesiąca.

W. Maniecki Wydawca i odpowiedz. za Redakcją we Lwowie, Rynek l. 28.

Prenumeratę i Inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Maryacki, hotel europejski.

Złamane Serca.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI.“

XVII.

(C. d.) Na drugi dzień już o świcie cała okolica Mokejohoo była w poruszeniu. Ze wszystkich stron nadciągali pielgrzymi, jedni na słoniach, drudzy pieszo, najbogatsi w lektykach i palankinach. W długich szeregach spieszyli oni do klasztoru, gdzie tego dnia miała odbyć się wspaniała uroczystość wyświęcania kapłanów buddyjskich. Kto co mógł, niósł bóstwu w ofierze: owoce, kwiaty, materje, zwierzynę, kosztowne naczynia. Za te dary wszechpotężny duch Gautamy, albo Buddy miał ich osłaniać swoją opieką.

Ponieważ zabudowania klasztorne, mimo że między niemi były dwa osobne domy dla gości, nie mogły pomieścić wszystkich pielgrzymów, więc część ich znaczniejsza stanęła pod białemi namiotami, gdzie wkrótce znaleźli się kupcy z miast okolicznych.

W budach powystawiali oni dzwonki, papierzane wizerunki złych duchów, petardy, lampki różnobarwne z papieru, chorągwie — a na taczkach rozwozili ciasta, owoce, sorbety i inne przysmaczki.

Po skończonej uroczystości w świątyni, rozpoczęła się pod gołem niebem zabawa ludowa niesłychanie długim dramatem indyjskim, który żadnemu Europejczykowi nie sprawił przyjemności; była to bowiem dziwaczna plątanina myśli religijnych i politycznych. Aktorowie grali na estradzie, której nakryciem był strop niebieski. Gdy zmierzch padać zaczął, zapalono tysiące lampek i pochodni, które między drzewami niebotycznemi płonęły jak małe robaczki świętojańskie.

W chwili rozpoczęcia dramatu, słudzy bogato przystrojeni wnieśli lektykę złoconą z jedwabiu pąsowego, w której znajdował się Alompra. Gdy firankę odsłonił, i sędziwe oblicze wiernym pokazał, ci padli na kolana, i w tej postawie tak długo zostali, dopóki patrjarcha nie dał znaku ręką by powstali.

Wybicki przypatrywał się uważnie wielkiemu dygnitarzowi kościoła buddyjskiego, i o ile z daleka mógł dostrzedz, przyznawał, że głowa Alompry była poważna, łagodna i bardzo rozumna.

Bolcio, który Wandzi na krok nie odstąpił i ciągle za rękę ją trzymał, wpatrywał się w starca w lektyce siedzącego, nie z ciekawością lecz z zachwytem i tak był jego osobą zajęty, że na kilkakrotne przemówienia Wandzi nic nie odpowiedział.

Po skończonym dramacie, słudzy odnieśli Alomprę, co dało hasło do rozpoczęcia właściwej zabawy ludowej. Zaczęto grać, trąbić, bębnić, małe chłopaki hałaśliwemi grzechotkami płoszyli ptaki uspione w najdalszych zakątkach gaju palmowego; gdzie niegdzie z łoskotem pękały petardy, na końcu zaś obozowiska pielgrzymów puszczano race ze smokami.

Gdy hałas przycichł nieco, na środku placu, otoczonego drzewami, zjawili się kuglarze i zaczęli pokazywać sztuki rozmaite. Tańczyli na płótnie w powietrzu rozpostartem, skakali po linewce cienkiej, połykali noże, wyrzucali setki kul w powietrze, z których żadna na ziemię nie upadła. Przy końcu przedstawienia wystąpił naj-

starszy kuglarz, trzymając w jednej ręce dziecko, w drugiej koszyk próżny, który widzom pokazał. Postawiwszy kosz na ziemi, włożył dziecko, potem zaś podniósł dah wyostrzony i ruchem gwałtownym kosz na wylot przebił. Ze wszystkich stron daly się słyszeć przeraźliwe kobiet krzyki, które długo nie ustawały, mimo iż kuglarz podniósł koszyk i pokazał, że dziecka w niem nie było.

Pani Wybicka zasłoniła sobie twarz rękami, Bolcio zaś blady, przestraszony, ciągnąc Wandzię, która ze strachu oniemiała, szarpnął matkę za suknię i rzekł:

— Mamo! chodźmy... Mnie głowa boli.

W pół godziny byli wszyscy w domu

W nocy Wandzia mimo że zawsze do rana spała najspokojniej, zbudziła się jakby przestraszona. Serce jej biło, twarzyczka była gorąca. Matka spała obok za białą kotarą — w pokoju przyległym ojciec i Bolcio. Usiadłszy na łóżeczku spojrzała w koło.

W pokoju było dosyć ciemno, ale cicho. Tylko w oddaleniu na dworze słychać było głuchy łomot petard, ponieważ zabawa ludowa według zwyczaju miała skończyć się dopiero nad ranem. Wandzia chciała się napowrót położyć gdy z przyległego pokoju doleciało ją ciężkie westchnienie. Słucha — westchnienia powtarzają się coraz częściej, ostatnie były nawet do jęku podobne Nie wahając się dłużej, zarzuca na siebie sukienkę obok łóżka leżącą, i przez drzwi odchylone wsuwa się cichutko do pokoju ojca.

W rogu, pod oknem, spał Bolcio. Wandzia usiadła przy nim na krześle i łagodnie, aby śpiącego nie zbudzić, położyła dłoń na jego czole. Czoło miał gorące, oddech niespokojny. Pod wpływem dotknięcia przestał ciężko wzdychać, ale za to po krótkiej chwilce zatrząsł się i oczy otworzył.

— Kto tu? — zapytał.

— Cicho Bolciu, to ja...

— To ty? — odrzekł oczy przecierając — prawda że to ty, Wandziu!

— Przyszłam boś spał niespokojnie, bałam się czyś nie chory... Ale cicho Bolciu, aby się tatko nie zbudził.

— Rzeczywiście, Wandziu, śniło mi się coś złego. Ten biskup pogański ciągle mi się przewiduje, a i to dziecko dahem przebite... Śniło mi się także, że ziemia zapadła się podemną.

— Nie mów tak Bolciu, bo to sen brzydki.

— Wandziu, Wandziu! — przemówił głośniej — czy słyszysz ten daleki huk podziemny? Taki sam huk śnił mi się przed chwilą. Słuchaj Wandziu.

Dziewczynka słuch wytężyła.

— Ja nic nie słyszę — rzekła po krótkiej przerwie.

— Nic nie słyszysz? Ach! Boże jaki huk, jaki łomot podziemny. Trzymaj się Wandziu łóżka, bo się dom trzęsie.

Wandzia mimowoli chwyciła się łóżka, ale chociaż uważnie słuchała i rozglądała się w koło nie zauważyła żadnej zmiany. Na dworze było cicho, a w pokoju ciemno.

— Bolciu, ty musisz mieć gorączkę... Ciebie przestraszył ten człowiek okrutny, który mieczem przebijał kosz z dzieciątkiem. Brzydki!

— Nie, ja nie mam gorączki... Ale huk już ustaje i dom przestał się trząść... Dzięki Bogu że nie było nieszczęścia. Idź Wandziu spać... Mnie lepiej, znacznie lepiej. Dobranoc!

— Dobranoc — odpowiedziała siostrzyczka, a pocałowawszy w czoło brata, który przymknął oczy, wróciła do swego pokoju.

XVIII.

W kilka dni po owej uroczystości ludowej, której obraz utkwił w pamięci wszystkich mieszkańców, Wybicki wziąwszy syna i dwóch ludzi, wyjechał na słoniu do Patna. Matka mdlała syna żegnając, ojciec miał łzy w oczach, Wandzi oczy były czerwone i zapuchnięte, Bolcio jednak był jak zawsze spokojny, milczący. Tylko bladość jego twarzy była większa, a spojrzenie smutniejsze. W tej wątłej istocie bądź źródła łez wcale nie było, bądź natura, troskliwa o zdrowie chłopca nie pozwalała mu płakać, by zbytecznie nie wycieńczał słabego organizmu.

Piątego dnia po ich wyjeździe, matka krzątała się koło gospodarstwa, Wandzia zaś oczyszczała w ogrodzie kwiaty z przeróżnych owadów, które tego roku w niezmiernej ilości obsiadły krzewy i kwiaty. Właśnie gdy w ręce trzymała różę wspaniałą, której liście muszki ścięły do połowy, dał się słyszeć nad jej głową szum niezwyczajny. Podniosła oczy, patrzy: palmy, tamaryndy szumią, a wiatru jakby wcale nie było. W tem hukło coś w głębi ziemi, pod nią zaś nogi tak się zachwiały, że aby nie upaść, musiała chwycić się najbliższego drzewa morwowego. Służba, zwierzęta domowe, nawet ptactwo, wszystko przerażone nadzwyczajnem zjawiskiem zaczęło krzyczeć, biegać, bić skrzydłami Huk coraz się zwiększał, i jakby świat poruszył się w posadach tak ziemia drżała.

Matka przerażona, z oczyma zbłąkanemi pojawiła się na ganku.

— Wandziu! Wandziu! — krzyknęła.

Po dwakroć usiłowała naprzód postąpić i po dwakroć padała, rzucana ziemi wstrząśnieniami. Na szczęście chwilę było cicho. Wtedy zebrawszy ostatki sił znowu się podniosła i pobiegła do ogrodu gdzie spodziewała się dziecko zastać. Wandzia ujrzawszy matkę puściła drzewo, i z okrzykiem radości rzuciła się jej w objęcia.

— Więc ty żyjesz moje dziecię, żyjesz? — wołała biedna kobieta, tuląc córkę do piersi.

Zaledwie tych słów domówiła, grzmot podziemny znowu zahuczał, poczem nastąpiło jeszcze gwałtowniejsze trzęsienie. Odtąd matka i córka nie wiedziały co się z niemi działo... z przerażenia obie omdlały. Gdy do przytomności wróciły, służąca, poczciwa brunatna Indjanka, cuciła je wodą. Spojrzały... Połowa domu w gruzach leżała. Zresztą świat był jak dawniej piękny, uśmiechnięty. Widząc to matka znowu omdlała. Tyle pracy, tyle starań, tyle zabiegów, a teraz jedna chwila wszystko w gruzy zamieniła!

Tęsknota za synem, przerażenie wśród katastrofy, a teraz boleść na widok mienia zniszczonego, tak wstrząsły organizm biednej kobiety, że w godzinę później dostała gorączki. Na szczęście ta część domu, w której były pokoje sypialne i kuchnia, pozostała nietknięta; tam więc położono chorą. Na wiadomość o nieszczęściu, które rodzinę cudzoziemca spotkało, zbiegli się krajowcy, ich żony, niosąc żywność i zioła przeróżne, a za nimi zjawił się także ksiądz Markett i pastor. Ostatni zabawił bardzo krótko, bo i on miał wypadek: trzęsienie zrzuciło mu wieżę z kościoła. Zresztą wieś cała pozostała nietkniętą, zbudowana bowiem w części z drzewa, w części z trzciny bambusowej, mogła ostać się w obec wstrząśnień najgwałtowniejszych.

Ks. Markett, który rozumiał się trochę na budownictwie, i był świadkiem jak Wybicki dom sobie stawiał, oglądając teraz prawe skrzydło, które się zawaliło, potrząsał głową i mówił:

— Zwracałem jego uwagę że tu miejsce niepewne, ale cóż kiedy nie słuchał. Ręczę że tu jest woda zaskórna... O! jaka cegła wilgotna... Tu, w takiem gorącu.

Kościółek katolicki na wzgórku także się ostał, a co do klasztoru buddystów, ten wystawiony z kamienia ciosowego przez miejscowych budowniczych, którzy wiedząc, że ich ziemia wulkaniczna bywa narażana na częste trzęsienia, dali mu mury tak potężne, że Alompra ani chwili nie lękał się o ich całość.

Mówią, że kobiety najprędzej wśród cierpień dojrzewają: na Wandzi sprawdziło się to zupełnie. Mimo wieku dziecięcego, widząc matkę chorą, ani chwili nie straciła przytomności, lecz jak osoba dojrzała zajmowała się nią i domem. Ponieważ o godzinę drogi mieszkał lekarz angielski, posłała więc po niego, a sama przy pomocy kobiet indyjskich, znanych z łagodnego charakteru i serca dobroci, przykładała chorej wodę do głowy, ciało zaś rozpalone pomagała nacierać ziołami, co Indjanie w takich wypadkach bardzo zalecają.

Nim jeszcze lekarz przyjechał, chorej znacznie się polepszyło. Otworzywszy oczy i zobaczywszy córkę obok łóżka, przycisnęła ją do piersi i gorąco ucałowała. Głos matki, pełen rozpaczy, gdy podczas trzęsienia córki szukała, a teraz ten pocałunek serdeczny, kazały Wandzi zapomnieć, że niegdyś matka Bolciem zajęta na nią uwagi nie zwracała. O! ona teraz przekonała się dostatecznie, że matka ją kocha, kocha bardzo, to też łzy radości, duże jak perły, a czyste jak brylanty, zaczęły jej spływać po bladej twarzyczce.

Po południu stan chorej znowu się pogorszył. Zaczęła majaczyć, wspominać męża i syna, rzucać się niespokojnie Lekarz, który tymczasem przyjechał, badał obojętnie chorobę; obok siedziała żona pastora z córką najstarszą, żona zaś miejscowego fabrykanta werniksu przygotowywała napój z ziół, który lekarz przepisał. Wandzia stała pod oknem, w oblicze matki cała zapatrzona Po niejakim czasie spojrzała w okno.

W oddaleniu tysiąca kroków widać było po jednej stronie drogi wspaniałe linje klasztoru buddystów, po drugiej skromny kościółek katolicki, na którego szczycie jaśniał krzyż złocisty. W ten krzyż wpatrzyło się dziecko, od niego spodziewając się pociechy w swej niedoli, a potem jakby jej szczęśliwa myśl przyszła do głowy, uśmiechnęła się do siebie, spojrzała na matkę, a widząc że spi, chwyciła parasolik z papieru lakierowanego, który leżał na stole, i do nikogo słowa nie przemówiwszy na dwór wybiegła.

Mimo gorąca, które oddech tamowało, mała dziewięcioletnia dziewczynka wybiegła szybko na drogę, wiodącą do kościoła. Ona szła tam, do swojego Boga, który umarł na krzyżu, aby u Niego wybłagać zdrowie dla matki. Krajowcy, obok niej przechodząc, uśmiechali się na widok dziecka europejskiego, które tak energicznie szło samo jedno, niektórzy rzucali nawet słowa przyjaźne, lecz ona jakby nikogo nie widziała, nikogo nie słyszała, biegła dalej myśląc li o matce i Bogu.

Stanęła przed kościołem — zamknięty. Chwyciła za klamkę — drzwi zamknięte. Pobiegła do domku misjonarza, lecz i tam drzwi były zamknięte, a okna zasłonięte gęstemi storami z trzciny, aby pokoje uchronić od zbytniego gorąca. Biedne dziecko nie wiedziało że ks. Markett odprawiwszy rano nabożeństwo, całe popołudniu spędzał zawsze we wsi, gdzie chętnych uczył wiary chrześcijańskiej.

Wandzia widząc nadzieje zawiedzione, jęknęła boleśnie, a ułożywszy ręce na piersiach, obróciła się twarzą ku klasztorowi buddystów.

Świątynia pogańska, zwykle zamknięta, tym razem była na oścież otwarta, światło padając do środka otworami w dachu, odbite u góry tysiąckrotnie od blach złotych i srebrnych, które

na ścianach wisiały, robiło górną część świątyni podobną do wnętrza wulkanu, w którym wieczny ogień płonie. Natomiast część dolna była jakby na pół senna. Tylko w samym środku coś jaśniało jakby posąg złocisty. Czarodziejski ten widok tak oddziałał na dziecko, że nie zastanawiając się nad tem co czyni, pobiegła prosto do świątyni. Zresztą ona pragnęła pomodlić się, z Bogiem porozmawiać, ale na osobności, żeby nikt jej nie słyszał i nikt nie widział. A tu dokoła taka cisza panowała! Nawet ptak jej teraz nie mącił.

Weszła, i nie zwracając uwagi na cuda w świątyni zawarte, których dotąd nigdy nie widziała, na samym środku rzuciła się krzyżem na ziemię. Ojciec opowiadając dzieciom o swojej i ich ojczyźnie, nieraz wspominał, że w Polsce gdy człowiek bardzo gorąco Boga o co prosi, pada krzyżem przed ołtarzem, na znak pokory najwyższej. Pamiętała to Wandzia, a że dopiero pierwszy raz w życiu miała Boga błagać o rzecz najważniejszą, o zdrowie dla matki, padła przeto krzyżem w świątyni buddystów, bo kiedy Bóg jest wszędzie więc i tu być musi. Wprawdzie ona tak nie rozumowała, lecz to czuła.

W środku świątyni była kopuła czworoboczna, z oknami na zewnątrz; pod nią stał tron wyniosły, przeznaczony dla patrjarchy, który tam siadywał podczas wielkich uroczystości. Tron był wysadzany drogiemi kamieniami, a jego nogi i poręcze były ze srebra złoconego. Przedziwnie wyglądał on w świetle, które w kopule od srebrnych i złotych blach odbite, spływało nań całym strumieniem. Na boku, także na znacznem podwyższeniu, znajdowała się kazalnica bogato rzeźbiona, nieopodal zaś stały pulpity, a na nich kandelabry i drogie kadzielnice. Naprzeciwko tronu widać było ołtarz misternej roboty, także kamieniami drogiemi hojnie ozdobiony, w którym według świętej legendy miała spoczywać część prochów Buddy, albo Gautamy, co jedno znaczy.

Wandzia modliła się głośno, gorąco, po polsku, bo się jej zdawało, że w tej ważnej chwili Bóg ją prędzej wysłucha, jeżeli doń będzie przemawiała językiem swego ojca. W pół godziny wzmocniona i pełna nadziei powstała. Gdy wchodziła, nie miała czasu rozglądać się po świątyni, ale teraz, spokojniejsza, chciała przecie zobaczyć jak wyglądało miejsce, o którem ludzie dziwy opowiadali, a w którem ona modliła się jak we własnym kościele. Zdumionem okiem powiodła górą, potem spojrzała na tron, na ołtarz, i z upodobaniem, kobietom właściwem, śledziła blask drogich kamieni. Jakie to wszystko było piękne, jak jej się tu podobało! I nie lękała się ani tej przestrzeni majestatycznej, wśród której znalazła się sama jedna, ani tej ciszy, która ją oblewała, ani tajemniczości, wiejącej od ołtarza, w którym miały spoczywać prochy bóstwa nieznanego. Gdy wzrok nasyciła, obróciła się aby wyjść z świątyni.

Przed nią, o dwa kroki stał bielutki staruszek — ten sam, którego widziała w lektyce podczas zabawy ludowej. Staruszek był siwy jak gołąb, i suknię miał na sobie kaszmirową białą, która pasem w pośrodku związana do stóp spadała. Na głowie miał osłonę purpurową, do zawoju podobną, na piersiach wisiał na łańcuchu złotym kawał aksamitu szkarłatnego, na którym było misternie wyhaftowane oko boskiej Opatrzności, a pod tem godlem dwie trzymające się ręce oznaczały przezorność i siłę.

Wandzia, mimo że w świątyni nie spodziewała się zastać nikogo, nie przelękła się, nie krzyknęła, lecz jak każde dziecko schwytane na uczynku, którego nie powinno było popełnić, zawstydzone oczka w dół spuściła, i ledwie głosem dosłyszalnym szepnęła po angielsku:

— Przepraszam!

— Za cóż ty mnie przepraszasz, dziecię? — zapytał staruszek także po angielsku, podnosząc jej głowę i czule w oczy jej patrząc.

— Za to, żem tu przyszła... Jam chrześcijanka.

— Wiem moje dziecię... Ale pocóżeś tu przyszła? Kogo szukałaś?

— Boga... chciałam się pomodlić.

— I znalazłaś go?

Wandzia z najwyższem zdziwieniem wpatrzyła się w mówiącego, ale nie wiedziała co odpowiedzieć.

— Musiałaś go znaleźć córko — mówił dalej Alompra — słyszałem bowiem że modliłaś się gorąco. Ten Duch wielki, wszechpotężny, jest wszędzie! wszędzie!

— A pan także wierzy w Boga? — przemówiła Wandzia odważnie. — Przecie pan poganin.

Patrjarcha buddystów uśmiechnął się żałośnie.

— Ile was jest dzieci w domu? — zapytał.

— Dwoje... ja i mój brat Bolcio, którego tatko odwiózł do Patna, do szkoły, ale on prędko wróci, bo on chory, więc nie będzie się mozolił.

Wandzia była uszczęśliwiona, że jednym tchem mogła to wszystko wypowiedzieć.

— Więc was jest dwoje — ciągnął staruszek — a u pastora jest dzieci sześcioro... są jednak rodziny, jak u handlarza werniksu, gdzie ich jest ośmioro, dziesięcioro, i jeszcze więcej. W każdej takiej rodzinie dzieci różnią się między sobą wiekiem, wzrostem, wyglądaniem, głosem, nawet temperamentem i charakterami, lecz jeśli tylko kochają się wzajemnie, i ojca szanując także kochają, to nawzajem ojciec odpłaca im równą miłością i wszystkie uważa za swoje prawowite. Dzieci, moja córko, to religje różne, a ojcem

ich jest w Nibanie wielki duch Gautamy, wasz Bóg chrześcijański, którego tak samo jak i my naszego powinniście kochać i słuchać jego przykazań.

Staruszek mówiąc to, miał twarz rozpromienioną. Wandzia słuchała go z podziwieniem.

— Kto jest twoim ojcem, córko?

— Mój ojciec nazywa się Wybicki i jest z pochodzenia Polakiem.

— A matka?

— Matka jest Irlandką.

— To jakby dwie łzy w jednem oku! — przemówił Alompra. — A ten język, w którym ty modliłaś się przed chwilą, czy to język twego ojca?

— Tak jest...

— I o co też prosiłaś swego Boga, moja córko?

— O zdrowie dla mamy, która zachorowała, po dzisiejszem trzęsieniu.

— A! to wam zawalił się dom murowany! Biedni ludzie, biedni!

Rzekłszy to, patrjarcha położył rękę na głowę dziewczynki i cicho zaczął wymawiać słowa dla niej niezrozumiałe. Potem z fałdów białej szaty wyjął mały kawałeczek szkarłatnego aksamitu, ze znakami podobnemi tym, które miał na piersiach, a wieszając ten amulet na szyi Wandzi, w te słowa przemówił:

— Nie jest w mocy człowieka oddalić zawody niebezpieczeństwa, boleści, które go w życiu spotkać mają, bo one są zrządzeniem tego Ducha możnego, który czuwa nad nami. Człowiek jednak może i powinien znosić mężnie wszystkie przeciwności! Ten amulet nie oddali więc od ciebie nieszczęść, bo on nie jest Bogiem, ale on ci pomoże w walce z losem wyjść zwycięzko, byleś przy tem zawsze w swego Boga wierzyła!

Rzekłszy to, dotknął się jej czoła ręką, w którą Wandzia szybko go pocałowała, i pomięszana, rozmarzona, powiedzielibyśmy, dopiero teraz przestraszona, wybiegła ze świątyni.

XIX.

Cztery lata upłynęły od zdarzeń powyżej opowiedzianych. Biedny tułacz wróciwszy z miasta i zastawszy dom zburzony a żonę chorą niebezpiecznie, tak się przeraził, że gdyby nie Wandzia, która jak mogła ojcu perswadowała, odwagi mu dodając, kto wie czyby się nie był sam rozchorował. Przytomność córki, jej miłość i opieka, wywarły jednak wpływ zbawienny i ojciec zamiast oddać się rozpaczy, pomyślał o środkach ratunku.

Dzięki gorliwej opiece osób życzliwych, pani Marja wróciła wkrótce do zdrowia; w kilka zaś tygodni zburzona część domu podniosła się z upadku. Nauczony doświadczeniem i wierząc już księdzu Markettowi że w tem miejscu muszą być źródliska, Wybicki nie stawiał więcej murów, lecz pół domu z drzewa dobudował, co go i taniej kosztowało i prędzej było skończone.

Wandzia podrosła, wypiękniała, i była prawą ręką matki, bo ją we wszystkiem wyręczała.

Bolcio bawił ciągle w szkołach, spędzając w domu co roku zaledwie pięć miesięcy najgorętszych, chociaż i to nie zawsze. Po dwakroć zdarzyło się, że lekarze, którym był w opiekę oddany, zaledwie na miesiąc puszczali go do domu, ponieważ stan jego zdrowia wymagał szczególniejszego ich starania. Żaden z nich nie umiał powiedzieć co chłopcu brakuje, chociaż każdy, nawet nie lekarz widział, że Bolcio ma w sobie jakąś chorobę ukrytą, która go trawi i robi posępnym. Podczas pobytu w domu rodzicielskim, z Wandzią najwięcej chodził i rozmawiał; rodziców zaś ile możności unikał, jakby ich nie chciał martwić sobą. Mimo to rodzice patrząc nań w głębi duszy bardzo cierpieli, lecz równocześnie pocieszali się nadzieją, że gdy chłopiec przyjdzie do lat męskich, to i siły wtedy się znajdą.

Wandzia nie zapomniała owej nocy, kiedy to Bolcio rozgorączkowany mówił jej o huku podziemnym i ziemi trzęsieniu. Do dni niewielu sprawdziło się jego majaczenie. Siostra jednak nigdy mu o tem nie wspomniała, a i on sam, rzecz zaiste szczególna! całkiem o owej nocy zapomniał. Wandzia w ogóle nie raz uważała, jakby brat mówił i działał pod wpływem nie własnej, lecz obcej woli, skutkiem czego natychmiast wszystko puszczał w niepamięć.

Było jakoś pod jesień. Bolcio ukończywszy wakacje, wybierał się do miasta, gdzie miał już wstąpić do szkoły technicznej. Ojciec pragnął aby syn jego został inżynierem, a i chłopiec do tego zawodu najwięcej okazywał skłonności, bo ze wszystkich nauk matematyczne najłatwiej sobie przyswajał. Wybicki marząc ciągle o powrocie do kraju, chciał synowi dać takie wykształcenie, aby ten wszędzie mógł znaleźć poczciwy kawałek chleba. W owych czasach, kiedy para zaczęła przekształcać stosunki ekonomiczne wszystkich narodów cywilizowanych, zawód inżyniera należał do najpewniejszych, bo w każdym zakątku ziemi zapewniał utrzymanie przyzwoite, a przy szczęśliwym zbiegu okoliczności nawet majątek.

Od lat kilku, odkąd umysły dzieci więcej były rozwinięte, ojciec wieczorem całemi godzinami opowiadał im ustępy z dziejów ojczystych. Zamiłowanie do historji, zwłaszcza kraju własnego, było u Wybickiego zawsze tak trwałe, że nawet wtedy, gdy w jego domu bieda była największa, odkładał szylingi na dzieła, które sobie z Europy sprowadzał. Obok historycznych, miał jednak i inne — i ktoby dał wiarę, że tam,

nad Gangesem, czytano wówczas poezje Adama Mickiewicza!

Wandzia słuchała zawsze z takiem zajęciem że nigdy słowa nie opuściła, a ponieważ opowiadania ojca nie zaspokajały jej ciekawości, więc w wolnych chwilach pożerała te księgi, które jej mówiły o tym kraju dalekim, gdzieś na końcu świata, o tym kraju zimnym, a jednak pięknym, w którym jej ojciec na świat przyszedł i do którego nigdy tęsknić nie przestał.

Szczególne zjawisko! To dziecię urodzone i wychowane pod skwarem słońca indyjskiego, rozmawiające z matką najczęściej po angielsku, z krajowcami językiem hindu, a po polsku tylko z ojcem, który dzień cały był zajęty, i bratem, którego rzadko teraz widywała — ta dziewczyna patrząca codzień na cuda natury, na przepych uroczystości indyjskich i wielkość sztuki indyjskiej — ta dziewczyna tęskniła do tych ludzi, którzy mówili językiem jej ojca — do tego kraju, w którym mieszkańcom bywa nie raz i zimno i głodno, w którym zamiast świątyń wielkich i pałaców okazałych, stoją skromne kościółki i chaty słomą okryte — ona tęskniła do ojczyzny swego ojca. O! cudowna krwi potęgo!

Bolcio nie czuł już tej tęsknoty; przynajmniej przed siostrą nigdy się z nią nie zwierzył. Dla niego cały świat był obojętny, i tylko raz się zdarzyło, że gdy ojciec żywo opowiadał piękność katedry na Wawelu, w której królowie spoczywają, chłopiec przerwał pół głosem, jakby do siebie mówiąc:

— Chciałbym tam być... Tam musi być cicho.

On ciągle wzdychał do ciszy, do samotności, jakby się urodził mnichem buddyjskim. (C. d. n.)

Szermierz pióra.

Powieść

WEDŁUG ORYGINAŁU OBCEGO PRZEZ H. W.

(C. d.) Jakóbek struchlał, słysząc gniewny głos pana, który zwykle tak łagodnie, tak po przyjacielsku z nim się obchodził. Wyszedł, ociągając się trochę — doktor jednak, nie chciał rozumieć wzroku profesora, który bez słów wprawdzie, ale najwyraźniej go o to samo prosił. Przysunął sobie z najzimniejszą krwią krzesło, a siadając na niem rzekł:

— Więc znowu się pracowało? Naturalnie! W ten cudowny letni dzień, kiedy cały świat leci na świeże powietrze, odświeżyć niem płuca; my siedzimy w tym dusznym, zakopertowanym hermetycznie pokoju i piszemy od rana do wieczora! Ba! żeby tylko, ale czasem i nocy dobry kawałek! Powiedz mi pan na miły Bóg! jak pan długo jeszcze chcesz żyć w ten sposób; i jak długo myślisz, sił ci na takie życie wystarczy?

Profesor upadł napowrót raczej niż usiadł na swoje krzesło, ciągle jeszcze walcząc z ogromném rozdrażnieniem:

— Musiałem się zapewne przeziębić — rzekł wymijająco:

— Co tam przeziębienie! — przerwał doktor z żywością — tu nie o tém mowa. Idzie o nieszczęsną naukę, która u pana przeszła w manję, w fiksację prawdziwą, która musi pana przedwcześnie do grobu zaprowadzić, jeżeli pan nie dasz sobie wytchnienia. Ileż ja to razy panu tłumaczyłem. Cóż atoli poradzić z pacjentem, który wszystkiego słucha cierpliwie, łagodnie na wszystko „tak“ odpowiada — a potem robi wręcz przeciwnie, niż mu się przykazało!

Profesor wysłuchał istotnie całej perory z wielką cierpliwością, wreszcie odezwał się cicho, broniąc siebie:

— Przecież ja zawsze wykonywałem pańskie przepisy!

— O, tak, nie ma co mówić! dosłownie! Każę się panu dla odpoczynku w łóżko położyć, to się pan kładziesz pokorniutko, ale obłożony na około księgami, z lampą na stoliku i zamiast do drugiej, pracujesz pan do czwartej po północy! Jeszcze przy tem wszystkiem masz lwią naturę, że dotąd to wytrzymujesz! Dotychczas zrujnowałeś tylko system nerwowy całkowicie, ale jeszcze rok takiej pracy, a dostaniesz pan suchot! daję panu na to słowo moje!

Profesor spuścił głowę na rękę, patrząc smutnie przed siebie.

— Tem lepiej — odrzekł z rezygnacją.

Doktor porwał się z krzesła, odsuwając je daleko z łoskotem, w najwyższej irytacji.

— Otóż macie! Jeszcze czego nie stało, chce gwałtem umierać! E, idź pan sobie z tą całą waszą uczonością! nie ma w niej nic zdrowego! W końcu z tej wielkiej mądrości, stajecie się niedołęgami fizycznie i moralnie.

Servigny powstał także, uśmiechając się smętnie.

— Opuść mnie doktorze, niewdzięczny ze mnie pacjent. Szkoda pańskiej troski i tylu starań. Zdrowie moje zniszczone zupełnie, czuję to sam najlepiej — siły wyczerpane; wszystkie twoje lekarstwa już tu nic nie pomogą!

— Lekarstwa nie — odrzekł doktor z powagą — panu potrzeba kuracji radykalnej, boję się jednak, że nadaremnie ją panu przepiszę.

— I cóż by mi pomódz mogło? — zapytał profesor z roztargnieniem, wzrokiem po książkach wodząc.

— Przez rok, ale to przez cały długi rok... nie wziąć pióra do ręki, nie otworzyć książki, nie myśleć nawet o żadnej uczoności. Natomiast ciało hartować, choćby prostą fizyczną pracą, kopiąc motyką w ogrodzie aż do zmęczenia, aż do spocenia. Dla odmiany cierpieć głód, pragnienie, chodzić daleko, narażając się na każde powietrze, złe czy dobre. — Nie patrz pan na mnie, jak na szalonego i nie myśl, że ci chcę tym sposobem ułatwić przejście na tamten świat. Przy tak zrujnowanych nerwach trzeba gwałtownych środków. Jestem silnie przekonany, że taka kuracja energicznie rozpoczęta i wytrwale przeprowadzona, uratowała by pana, mimo tych wszystkich niepotrzebnych myśli o śmierci.

Profesor potrząsł głową.

— Tem bardziej muszę zwątpić o jakimkolwiek dla mnie ratunku. Przyznaj sam doktorze, czy jest podobne i możebne życie prostego wyrobnika w mojem położeniu i na mojem stanowisku?

— Niestety! wiem o tem, i wiem także, że nigdybyś pan nie znalazł w sobie tej energji, tej stanowczości prawdziwie męskiej, jakiejby wymagała podobna kuracja. Zamykaj się pan, jak dotąd, pracuj tak dalej i przygotuj się na suchoty niezawodne! Dosyć się już nagadałem i naprzestrzegałem. Adieu!

Wypowiedziawszy te słowa jednym tchem w najwyższem uniesieniu, najpoczciwszy, ale trochę gwałtowny Dr. Etienne, złapał za kapelusz i wyniósł się za drzwi do przedpokoju, gdzie czekała na niego olbrzymia postać Jakóba, wpatrzona w doktora z niemą prośbą i z niepokojem.

Doktor potrząsł głową.

— Z twoim panem nie ma znowu co robić dzisiaj. Daj mu zwykłe lekarstwo. Zawsze ten sam upor i to samo cierpienie wraca, które...

— O nie, nie! panie doktorze — przerwał Jakób z wszelką stanowczością — to jest całkiem coś nowego. Mówię panu! Od tego dnia nieszczęsnego, jak ta miss amerykańska...

Doktor roześmiał się głośno.

— Przecież nie zechcesz utrzymywać, mój poczciwy chłopcze, że przyjazd mojej siostrzenicy zaszkodził twemu profesorowi, i nie będziesz jej kazał odpowiadać za jego złe zdrowie — odrzekł doktor, któremu to zestawienie przyjazdu z chorobą, wydało się nader zabawnem.

Jakób zamilkł zawstydzony; to mu wcale na myśl nie przyszło, tylko jedno zauważał, że od tego dnia jakaś odmiana zaszła w usposobieniu jego pana.

— No to powiedz, cóż właściwie jest teraz twemu panu? — egzaminował dalej doktor.

Chłopiec miał czapkę w rękach wielce zmięszany. Do tego, żeby opisać dokładnie stan, który go napełniał taką trwogą i niepokojem, trzeba było większej aniżeli jego inteligencji i innego daru wymowy.

— Ja nie wiem, co mu jest... ale nie to, co dawniej — utrzymywał zawzięcie.

— Śniło ci się — odrzekł doktor zniecierpliwiony. Dasz mu lekarstwo, a potem dopilnujesz, żeby wstał przecie od biurka i wyszedł na świeże powietrze; w pokojach okna pootwierasz. Tylko uważaj, jak wyjdzie dla odpoczynku na przechadzkę, żeby nie wziął pod pachę z kilka foliałów do czytania. Rozumiesz?

To powiedziawszy, zeszedł doktor ze schodów a wchodząc do siebie, spytał o siostrzenicę.

— Wyszła jak zwykle — zaraportowała pani doktorowa w najgorszym będąc humorze — wyszła już o czwartej po południu i znowu sama! Przecie by wypadało, żebyś jej raz przedstawił całą awanturniczość i niestosowność tych spacerów samotnych, które odbywa całemi godzinami.

— Ja? — zawołał doktor wcale nie zbudowany tem przypuszczeniem — nie moja duszko! to twoja rzecz, tyś powinna o tem z nią pogadać.

— To! to! to! pogadać z nią! — odrzuciła rozdrażniona staruszka — niby to tak łatwo, jak się komu zdaje! Skoro się ośmielę zrobić najlżejszą uwagę, że to lub owo za złe jej wziąć mogą, wyprostowuje się zaraz z dumą królowej, dającej dworakom posłuchanie. — „Kochana wujenka raczy mnie to zostawić do osądzenia, mnie wyłącznie“ — rzuca mi na głowę ze zwykłą sobie impertynencją i odchodzi przerywając mi częstokroć słowa w połowie.

Doktor wzruszył ramionami.

— Czy myślisz, że mnie się lepiej z nią udaje?

— Ależ całe miasto już o tem mówi, ganiąc zbytnią wolność, jaką dajemy tak młodej dziewczynie. Nas robią odpowiedzialnymi za jej ekscentryczność, nie pojmują, jak możemy na to wszystko patrzeć i cierpieć coś podobnego!

— Doprawdy? — mruknął Dr. Etienne ze spokojem stoika — życzyłbym tym wszystkim, co nas krytykują, żeby mogli dostać Jenny do domu na kilka tygodni; niechby spróbowali wziąć nad nią w czemkolwiek przewagę, ręczę, żeby im prędko odeszła do tego ochota! Jenny ze swoją szorstkością, a ten profesor na górze ze swoją łagodnością, to dwoje uparciuchów, z którymi całe miasto L* nicby nie poradziło! Jeden jest tylko na nich sposób — zastosować się do tego, co oni za dobre uważają...

III.

Doktor miał zupełną słuszność, miss Forest nie obchodziło wcale, co powiedzą w L* na jej wycieczki, czy znajdą je stosownemi, czy nie? Tak jej się podobało i koniec. Nie pochodziło to bynajmniej z usposobienia romantycznego, lubującego się w dalekich samotnych przechadzkach, do lasków cienistych lub nad brzeg rzeki, gdzie można patrząc na bieg fali, puścić wodze fantazji. Takie myśli były jej zupełnie obce; chciała po prostu poznać okolice miasta, a że po odjeździe Atkinsa nie uznała nikogo godnym swego towarzystwa, zawsze sama wychodziła.

Dzisiaj także wybrała się bardzo daleko, oglądać ruiny rycerskiego zamku, którego część znaczna dotąd widną była, zawieszona na skalistym pagórku. Zmęczona chodem długim i upałem, usiadła spocząć na górze u stóp ruin i patrzyła przed siebie na piękny krajobraz. Znikła owa mgła, która na jej powitanie wszystko była spowiła w swój całun biały, okiem nieprzebity. To, czego wtedy dojrzeć nie mogła, rozścieliło się przed jej oczyma z całym przepychem letniej przyrody, ozłocone promieniami słońca jaskrawego.

Wsunęła się jeszcze głębiej w cień od muru padający. Dziwnie na nią działały te widoki na ziemi francuskiej. Nigdy nic podobnego nie doświadczyła w Ameryce, gdzie natura jest taka potężna, olbrzymia we wszystkich swoich tworach. Od tych pagórków, od tej rzeki wiało coś smętnego, rzewnego. Byłożby to uczucie tęsknoty do ziemi rodzinnej, które i jej serce poruszać zaczynało?

Nie rozumiała tego uczucia, gdy matka na nie umierała; nie rozumiała, gdy w ostatniej chwili przedśmiertnej, ojciec zdradził się z niem tak boleśnie; skoro jednak wstąpiła na ziemię ojczystą, która jej dotąd tak zupełnie była obcą, na której przeżyła zaledwie lat kilka wieku dziecięcego, i w jej duszy budziły się jakieś wspomnienia, głuche, niewyraźne. Był czas, gdy ojciec nie zajmował się jeszcze jej wychowaniem, gdy wyłącznie mała dziecina do matki należała. Wtedy biedna matka nieraz ją do snu kołysała piosnkami ze stron rodzinnych, legendami osnutemi na tle ojczystem. Później wola ojca wszystko to z jej serca wyrwała, a natomiast wlała w nie dumę i prawie nienawiść do Francji.

Uczucie, które teraz chwilami ją opanowywało, upokarzało, gniewało ją w najwyższym stopniu. Wiedziała dobrze, kiedy zjawiło się w jej sercu po raz pierwszy.

Robiła dłuższą wycieczkę z wujem i Atkinsem, oglądała widoki przecudne; a nic podobnego nie doświadczyła. Tam, pod żywym płotem, wśród mgły gęstej, przy szumie rzeki, której widzieć nie można było; z gałązką w ręku, zaczynającą okrywać się pierwszą zielonością — coś ją za serce ścisnęło, uczuła pierwsze jego drżenie. A wiele razy ta chwila jej się przypomni, staje przed nią towarzysz owej przechadzki po błocie, który był wtedy obok niej i przenosił ją z męską siłą i wolą. Wydał jej się tak śmiesznym, tak niepraktycznym, ten pióra bohater!... Czemuż jego wspomnienie tak ją prześladuje? Cóż ją zająć w nim mogło? Czułość serca dla gałązki zielonej? Oczy zamyślone i tęskne? i ta chorobliwa romantyczność w każdem jego słowie się przebijająca, a która była tak wstrętną dla rozumnej i praktycznej córki pana Foresta, dla istoty wychowanej w zimnej i trzeźwej Ameryce. I teraz postanowiła całą siłą energicznej swej woli pozbyć się tych upokarzających ją wspomnień, wydrzeć je gwałtem z serca i pamięci — gdy w tem z po za muru, pod którym siedziała, dały się słyszeć kroki i tuż przy niej ukazała się wyniosła postać profesora Servigny.

Jenny mimo całej przytomności umysłu, jaką się odznaczała, osłupiała ze zdziwienia. To zjawienie tak było splątane z jej myślami, których się raz na zawsze pozbyć chciała, a tu taka przeszkoda niespodziewana... Nie mniej też zdziwiony, a nawet przerażony tem spotkaniem był p. Servigny. Cofnął się w tył kroków parę, jakby chciał wracać nazad, pojął jednak całą niestosowność podobnej ucieczki, po chwili namysłu przeszedł na drugą stronę muru, pozdrowiwszy miss Jenny niemym ukłonem. Starał się być od niej jak najdalej; stok pagórka w tem miejscu był jednak tak wązki, że zawsze znalazł się dość blisko Joanny.

Od czasu owej przechadzki w deszcz po drodze publicznej, nie byli jeszcze nigdy sam na sam. Rzadko bardzo spotykali się w ogrodzie, profesor pozdrawiał ją wtedy grzecznym ukłonem, jak każdego zresztą z domowników. Jenny odpowiadała mu lekkiem głowy skinieniem. Oboje unikali starannie dłuższej rozmowy, co i teraz zdawało się być ich silnem postanowieniem. Profesor był bez tchu prawie, zmęczony okropnie. Chciał być posłusznym przepisom lekarza, wybrał się więc na tę daleką przechadzkę. Nie potrafiła ona jednak wlać życia w twarz jego zapadłą. Bladość śmiertelna pokrywała lica, oczy otaczała czarna obwódka, czoło przerzynały dwie grube zmarszczki. Rumieniec ani na chwilę nie chciał się tu pokazać, mimo dnia gorącego, mimo drogi dalekiej i uciążliwego wchodzenia pod górę. Ta twarz tak strasznie mizerna aż nadto potwierdzała zdanie lekarza, które Jenny tak często słyszała, że Servigny na śmierć się zapracowuje, że policzone dni jego!

A jednak znowu musiała jej się przypomnieć ta chwila, kiedy ją tak nagle i z taką siłą porwał na ręce. Nie były to wcale ramiona suchotnika, które ją wtedy przeniosły przez wodę, tak lekko i z taką pewnością. A tenże objaw oburzenia, gdy śmiała wątpić o sile jego, który krwią mu twarz zalał i wywołał w nim taką męską energię? Dotąd nie potrafiła rozwiązać tej zagadki, nie rozumiała olbrzymiej różnicy, jaka zachodziła między tamtą chwilą a zwykłą postawą tego człowieka. Dziś uderzała i zastanawiała ją ta różnica więcej niż kiedykolwiek.

— Czy i pan zwiedzasz te ruiny? — zapytała wreszcie pierwsza, wiedząc już teraz aż nadto dobrze, że w milczeniu profesora nie ma nic obrażającego, że jest ono naturalną konsekwencją życia samotnego zupełnie, bez ludzi i ich towarzystwa.

Na dźwięk jej głosu obrócił się szybko i zdawał się walczyć ze zwykłem sobie zamyśleniem i roztargnieniem, żeby się z niem przed Jenny nie zdradzić.

— Jest to miejsce najpiękniejsze w okolicy miasta L*; odwiedzam je też o ile mi czas na to pozwala.

— A ten wypadek nie zdarza się często?

— Zapewne! szczególniej tego lata, gdyż właśnie czas swój poświęcam pracy obszerniejszej.

— Piszesz pan znowu bardzo mądre dzieło? — spytała Jenny z lekką ironią.

— Tak, dzieło treści czysto naukowej — dokończył profesor z pewnym naciskiem, jakby parując ironię poprzednią.

Jenny poruszyła ustami pogardliwie.

— Pani znajdujesz zapewne, że to zadanie równie niewdzięczne, jak bezowocne? — zapytał profesor już z pewną goryczą.

Wzruszyła ramionami.

— Przyznaję, że nie uwielbiam zbytecznie tej całej mądrości książkowej i nie pojmuję wcale, jak można poświęcać dobrowolnie życie całe gałęzi naukowej, jak ta naprzykład, nad którą pan pracujesz, obchodzącej jedynie świat uczonych, a dla reszty ludzkości będącej czemś martwem, istotnie bezowocnym pyłem książkowym, nic więcej.

Był to znowu jeden z tych wybuchów niesłychanie szorstkiej otwartości, którą nieraz Jenny przyprowadzała wuja do rozpaczy. Profesor jednak nie zdawał się nią zdziwiony, ani obrażony; popatrzył tylko długo, przeciągle na młodą damę, temi swemi pięknemi, dużemi a tak smutnemi oczyma! Jenny zaczynała już żałować, że w ogóle wdała się z nim w rozmowę, bo zaraz pod

wpływem tego wzroku wracało dawne uczucie dręczące, zatrważające, które z taką trudnością pokonywała.

— A któż pani powiedział, że to się stało dobrowolnie? — mówił dalej głucho i jakby z boleścią.

— Przecież zmusić nie można nikogo do tego kierunku?

— Można go atoli przyzwyczaić. Szczególniej, jeżeli ten ktoś nie ma żadnej rodziny, od dziecka sam jeden na świecie, a los rzucił to dziecko w szpony uczonego, który nic nie znał i nic nie ukochał na całej kuli ziemskiej, prócz jednej nauki. Dzieckiem już przykuto mnie do stołu z książkami — młodzieńcem pędzono dalej tą drogą bez wytchnienia, nadużywając niemiłosiernie moich zdolności. Wreszcie cel był osiągnięty. Praca wycieńczająca zabiła we mnie młodość, poezję, zrujnowała zdrowie prawie zupełnie.

Kto jej przyniósł tak wielkie ofiary, ten do końca życia tej pracy wiernym pozostanie. Przynajmniej w mojem życiu samotnem nie uczuwałem, dzięki tej pracy, żadnej tęsknoty, ale też nie zostawiła mi ona żadnej nadziei!

Czuć było w tem całem wyznaniu bolesną rezygnację, a smętny wzrok, który znów spoczął na twarzy Joanny, wywołał w niej gniew prawie. Dlaczego nie mogła znosić spokojnie tego wzroku? dlaczego on ją tak wzruszał? A jeżeli co mogło poniżyć w jej oczach profesora, to właśnie to wyznanie. Więc na śmierć się zapracowuje nawet nie z przekonania, nie z wyższego natchnienia, tylko z przyzwyczajenia, dla jakiegoś urojonego poczucia obowiązków! Taka bierna wytrwałość w powołaniu, do którego był niemal zmuszonym, wydawała się osobie tak samowolnej i energicznej, niedołęstwem bez granic, nie do darowania. Zaiste, kto jest zupełnie pozbawiony siły i odwagi do walki z życiem, temu nic nie zostaje, jak zginąć marnie w pyle książkowym.

Profesor odwrócił się nagle od Jenny i zapatrzył się w krajobraz, który teraz pływał cały w świetle słońca zachodzącego. Odbijały cudnie od tego tła purpurowego sinawe pasma pagórków, wieże i wieżyczki miasta. Rzeka płynęła cicho, jakby także zamiast fal zwykłych, miała złoto rozpuszczone w swoich nurtach.

Odblask tej łuny na stropie niebieskim ożywiał także szare mury starego zamczyska. Wszystko wyglądało różowo. Ruiny, bluszcz pnący się po nich, nawet twarze siedzących, nad któremi bluszczowe gałązki zwieszały się miłośnie, jakby chciały w oczy im zajrzeć ciekawie.

Joanna patrzała zadumana na to cudowne oświetlenie, na ten istotnie piękny widok! Nie uważała wcale, że profesor zbliżył się i stał tuż obok. Ona teraz drgnęła przestraszona na dźwięk jego głosu.

— Czy nasza rzeka wzbudziła i w pani na chwilę uwielbienie? — zapytał tonem zadowolenia.

— We mnie? — błyskawicą przeszło przez głowę Joanny, że może on domyśla się w niej tej „słabości“, o którą już tyle razy oskarżała sama siebie. Wprawdzie umiała panować nad wyrazem twarzy — on nie mógł jej zdradzić. To li przypuszczenie.... ale przypuszczenie nawet wielce ją rozdrażniło.

— We mnie — powtórzyła lodowato — masz pan poniekąd słuszność. Są niektóre piękne szczegóły w tym krajobrazie, w całości jednak wydaje mi się nędzny, ściśniony.

— Nędzny, ściśniony? — zawołał profesor, jakby dobrze nie zrozumiał, a wzrok jego spoczął na niej pytająco.

— Przynajmniej mnie takim się przedstawia — tłumaczyła Joanna z dumną powagą; — kto patrzał na nurty Mississippi, kto podziwiał kaskadę Niagary, kto wyrósł kołysany szumem odwiecznych lasów dziewiczych Ameryki, czyż taki może się unosić nad tutejszą okolicą?

Twarz profesora zaczynała się z lekka rumienić, znak niezawodny, że i on był silnie podrażniony. (C. d. n.)

WYZNANIE NIEZAPOMINKI.

PIOSNKA.

Zkąd ty masz błękit taki wymowny,
Wyznaj mi kwiatku,
Kwiatku kochany!

— W zdrój się wpatruję, wiosną czarowny
Z tamtąd mam błękit,
Błękit świetlany.

Zdrój wiatry mącą, twój błękit czysty,
Mów prawdę kwiatku,
Kwiatku obłudny!

— W niebo wciąż patrzę, w cud wiekuisty,
Z tamtąd mam błękit,
Błękit przecudny.

Na niebie gromy, czarne obłoki,
Twój błękit zawsze,
Zawsze tak złoty!

— Ach! czarodziejskie jakieś uroki
Tulą mnie w błękit,
Błękit tęsknoty!

Któż na cię rzucił czar ten uroczy?
Czy Anioł maju?
Maju wdzięk sielski?

— Więc muszę wyznać: jej to, jej oczy,
Dały mi błękit,
Błękit anielski!

B. Komorowski.

NAJNOWSZE PODRÓŻE STANLEY'A I CAMERON'A.

ZE WSCHODU NA ZACHÓD AFRYKI.

(C. d.) Obok jednomasztowców i małych łódek plemion z nad morskiego wybrzeża, stoją w niej okręty z żaglami z palmowych liści lub mat, a przy nich mniejsze na kształt bark zbudowane dhausy arabskie i europejskie trzymasztowce. Ruch na czterech Bazarach niepospolicie żywy; tutaj widzi się prawdziwą kartę próbek ludzi ze wszystkich okolic nadmorskich i wielu krajów środkowej Afryki — a także Persów, Arabów, i Hindusów z Indji wschodnich. Na kość słoniową, kopal, skóry i maszle Kauri Zanzibar jest głównem miejscem targu; tutaj handlowe domy nabywają na zamianę te produkta krajowe. Przychodzą one drogami karawanowemi z miast w wnętrzu kraju położonych a płaci się za nie europejskiemi towarami. Wszystkie te handlowe drogi schodzą się jak promienie do wspólnego ogniska, do Zanzibaru, który jest zarazem środkowym punktem dla okrętów opływających wschodnio-afrykańskie morskie pobrzeże. Najkosztowniejszym towarem jest kość słoniowa; a znaną jest rzeczą, że najpiękniejsze i największe kły słoniowe przychodzą właśnie z Zanzibaru. Hamburg importuje znaczną część tego towaru, który następnie w samym Hamburgu lub Londynie drogą publicznej licytacji sprzedawany bywa. Ale największymi handlarzami kości słoniowej są Amerykanie, którzy całe okręty jedynie tylko tym drogim produktem obładowują. Kopal wykopują na wybrzeżu morskiem, gdzie się znajduje zwykle w 1 lub 2 metrowej głębokości pod powierzchnią ziemi; jest to kopalna smoła, podobna do bursztynu i nie rzadko zdarza się w niej, równie jak w tamtym, napotkać zamknięte wybornie zakonserwowane owady, które prawie bez wyjątku do wymarłych już rodzajów należą.

Jednym z produktów krajowych, który jeszcze w Europie czeka na przynoszące użytek obrobienie — i który przez to obrobienie jedynie wartość jaką ma w sobie osiągnąć może, są skóry rzecznych koni. Najpiękniejsze szpicruty i spacerowe laseczki setkami można wyciąć z jednej takiej skóry; grubość jej wynosi wyżej $2\frac{1}{2}$ centymetrów, a przedmioty z niej sporządzone przybierają piękną politurę, która im przeźroczystość z ładną żółto brunatną barwą nadaje.

Przywóz towarów do Zanzibaru oceniają na średnio 6 milion. tonn; a wywóz na 9 milion. tonn. Port jego corocznie około 50 okrętów europejskich odwiedza. Ilość zaś tutejszych miejscowych statków, które wschodnio afrykańskie produkta na Madagaskar, na wybrzeża Czerwonego Morza i Perskiej zatoki przewożą — dochodzi do mnogich tysięcy.

Liczba mieszkańców miasta Zanzibar ma wynosić 40—50.000 tysięcy; braknie jednak zupełnie tej cyfrze dokładności; wielu twierdzi, że liczba ludności jest znacznie większą, że dochodzi do 70,000 mieszkańców. To tylko jest pewnem, że miasto niezwykle prędko urosło: w 1842 r. bowiem stało tu dopiero pięć magazynów. Dokładny opis jego osobliwej powierzchowności dać jest rzeczą nader trudną. Widzi się tu kamienne budynki jednopiętrowe do starych, maurytańskich budowli, których tyle w Hiszpanji się znajduje, podobne.

Ulice są wązkie i kręte i prowadzą tu koło chat murzyńskich, tam koło towarowych składów, cmentarzy lub kaplic chrześcijańskich i mahometańskich meczetów. Nieczystość panuje w Zanzibarze tak wielka, jak we wszystkich miastach Wschodu, a mieszkańcy nie wiele czyściejsi od swych ulic. Zajęciem ich jest zbieranie i wypłukiwanie muszel Kauri, które w charakterze pieniędzy mają obieg — przyrządzanie kokosowych orzechów i nasalanie ryb. Właśnie te industrje przyczyniają się wielce do zrobienia miasta tak nieschludnem.

Nad morzem wznosi się cytadela z murowanemi wieżycami i okrągłemi, blankami uwieńczonemi bastjonami; wygląda bardzo poważnie ale nie zdolała by się oprzeć żadnemu europejskiemu działu. U wejścia do niej obozuje pewna liczba uzbrojonych Arabów i Suaheli, którzy wysoce malowniczy widok przedstawiają, we wszelkich możebnych porach usadowieni na kamiennych ławkach lub rozciągnięci na matach, albo też zgoła na nagiej ziemi. Gorliwie są zajęci, możebnem ulżeniem sobie w służbie, która sen potrzebny w to wliczając, na dwudziestoczterogodzinnem próżnowaniu się ogranicza, i osiągają ten cel prowadząc niezbyt delikatne rozmowy albo też grając w karty.

Stanley mieszkał w Zanzibarze u kapitana Francisa Webba, konsula Stanów Zjednoczonych. Prócz tego zapoznał się z Dr. Kirk, konsulem brytyjskim, który mu nic pocieszającego nie powiedział. Nie wierzył wprawdzie, aby Livingstone już nie żył, „ale — dodał staruszek — powinienby teraz już naprawdę do ojczyzny powrócić: bo gdyby umarł, świat nie dowiedział by się nic o jego niewątpliwie ważnych odkryciach. Z Livingstonem trudno jest bardzo wyżyć. Wprawdzie ja osobiście nigdy żadnej z nim sprzeczki nie miałem — ale wiedziałem że jest niezgodny i raptusowaty, i to zdaje mi się być także przyczyną, dla której nie ma nikogo przy sobie.“

Stanley zamilczał przed Dr. Kirkiem, że on właśnie i jedynie po to się w podróż wybrał, ażeby szukać Livingstone'a, powiedział mu tylko, że do wnętrza Afryki dąży i że przecież jest możebną rzeczą, iż Livingstona spotka. — „Jak pan sądzisz, Dr. Kirk, cóż on w takim przypadku uczyni?“

„Chcąc być szczerym — odrzekł na to konsul — nie sądzę, aby się Livingstone tak bardzo tem ucieszył. Jestem najmocniej o tem przeświadczony, że by się za jakiemś wielkiem bagniskiem lub w jakiej prawie nieprzebitej gęstwinie ukrył, usłyszawszy że się Burton, Grant, Baker, lub ktoś inny z podobnych panów ku niemu zbliża.“

Jak niesprawiedliwie Dr. Kirk swojego przyjaciela(?) Livingstone'a osądził, późniejsze wypadki okazały.

Nie mała to rzecz, karawanę na podróż do wnętrza Afryki dobrze przygotować; nie tylko niezliczone przedmioty codziennego użytku, broń i sprzęty, środki poży-

wienia i leki i wszystkie do utrzymania ich w dobrym stanie lub naprawy konieczne rzeczy, muszą być z góry przewidziane; ale przedewszystkiem chodzi o pieniądze, które nie są żadną miarą w Afryce tak prostą rzeczą jak dla podróżującego po cywilizowanym świecie, jeżeli tylko wystarczające dla siebie mienie posiada. Pomiędzy dzikiemi bowiem pokoleniami Afryki nic nie znaczy ani moneta, ani łatwo dający się przenieść metal szlachetny sam w sobie jako wartość zamienna; jedynie tylko za przedmioty potrzebne do życia, można od nich inne rzeczy niezbędne do życia — chleb powszedni przedewszystkiem, wytargować i chciwość wiejskich potentatów zaspokoić. Materje, perły i drut są pieniądzmi podróżnego po Afryce; starannie wybrać je potrzeba, bo mianowicie perły, drobna moneta tych krajów — bardzo podlegają kursowi i zmieniają go podobnie monetom, w inych okolicach ziemi.

Ważną jest rzeczą wiedzieć, jakie barwy w rozmaitych krajach, przez które przeciągnąć ktoś zamierza, mają kurs; jeżeli się przyniosło innych barw perły, to albo zgoła nie będą — albo też w bardzo niskiej cenie będą przyjęte. Stanley otrzymał wskazówki w tym względzie od arabskich kupców w Zanzibarze; gdy przebywający tamże Europejczycy okazali się mało obeznanymi z temi kwestjami.

W 3.500 doti (4 metry) materji — 20 worków pereł i dziesięć frasilah (= 175 kgrm.) mosiężnego drutu zaopatrzony, przypłynął Stanley do Bagamojo, naprzeciw Zanzibaru położonego na stałym lądzie, miejscowości, gdzie dopiero złożenie karawany i zwerbowanie niezbędnych tragarzy do przeniesienia ciężarów nastąpić mogło. Tym tragarzom nadają wschodnio Afrykańskie karawany miano *pagasi*; poddani oni są pod kierunek przewodnika zwanego *kirangosi*, który zawsze kroczy na czele karawany i pod karą nikomu go wyprzedzić nie wolno.

Kirangosi tworzy w handlowych karawanach jedyną policję w pustyni; polityką więc podróżnych jest powagę jego w jakich by to nie było warunkach podtrzymywać, gdyby nawet nie miał słuszności za sobą.

W Zanzibarze pozyskał Stanley dla swego przedsięwzięcia wielu współuczestników dawniejszej Speke'go wyprawy; a oprócz tego dwaj biali słudzy Shaco i Farquhar stali przy jego boku. Shaco był sternikiem na jednym z angielskich okrętów i również w Zanzibarze został do służby przyjęty. Służącego Farquhara poznał Stanley w czasie podróży z Indji i pozyskał dla siebie jak również i bystrego arabskiego młodzieniaszka z Jerozolimy, imieniem Selm, który mógł być także jako tłómacz użyty.

W pięciu oddziałach wyekspedjował Stanley swoich ludzi i mienie do wnętrza kraju; prawie cały miesiąc minął do chwili, w której ostatni z tych oddziałów, pod osobistemi rozkazami przedsiębiorczego Amerykanina zostający, z rozwiniętą flagą przy huku wystrzałów z fuzyj, 21. Marca opuścił Bagamojo. Z tragarzami, zbrojnymi ludźmi i zaciągniętymi w służbę „New-York Herald Expedition" liczyła 189 ludzi nie wliczając w to komendanta i jego obudwu białych służących.

Od Bagamojo opuścił Stanley natychmiast ślady swoich poprzedników Burtona i Speke'go, którzy po rzece Kingani pociągnęli, a natomiast skierował się prostą linją przez Ukwerę i Uzeguha ku łańcuchowi gór Usagara, na których wschodniej podstawie musiało być przebyte olbrzymie bagnisko Makata. W maju znajdował się Stanley w kraju Ugogo i w miesiąc później odbywał wjazd do Unjanjembe, w Księżycowym kraju. Aż dotąd poszło wszystko nie złym ładem; chociaż bez straty się nie obyło i właśnie obecnie dwóch ludzi z orszaku klimatowi uległo. Stanley i Shaw gorączkę i inne choroby przecierpieli, a trzeci biały, Farquhar zachorował w drodze i musiał w górach być zostawionym. W Unjanjembe otrzymał Stanley wiadomość o śmierci jego, która wnet po rozłączeniu się z nim nastąpiła. (C. d. n.)

POGADANKA.

Karnawał i dżuma, oto hasła tak sprzeczne wprawdzie, a jednak rzeczywiste, jakie teraz zaprzątają umysły niemal wyłącznie. Co do pierwszego, tym razem niewątpliwie oddaje karnawał ludziom prawdziwą przysługę, choćby przez to, że pozwala im niekiedy zapomnieć o dżumie, stawiając ich w położeniu Boccacia, który był tyle roztropnym, że bez względu na kalendarz urządził sobie sam zapusty dekameronowe w chwili pojawienia się „czarnej pani" we Florencyi. Czy dekoltowany wieszcz Italii znajduje naśladowców w Wetlance, Selitrennoji, Udacznoji i w tym podobnych nieszczęśliwych „ankach" i „ojach", o tem JE. pan generał-gubernator astrachański nie wspomniał wprawdzie dotychczas wyraźnie w swych raportach, zdaje się to jednak wątpliwości nie ulegać, jeśli mianowicie zważymy daty, odnoszące się do stanu zarazy, przytaczane w rzeczonych raportach. JEkscelencya jest bowiem niemal codziennie w tem miłem położeniu, że może tak ministra w Petersburgu, jak też pośrednio Europę zapewnić, iż w okolicach mających to szczęście zostawać pod jego opieką, znajduje się „jeden chory", a i o chorobie tego jednego daloby się powiedzieć jeszcze to i owo. Czyż więc, proszę państwa, nie mamy w tem pośredniego przynajmniej dowodu, że mieszkańcy nadwołżańskich „anek" i „ojów" poszedłszy po rozum do głowy, uciekli się do tak prostego r e m e d i u m, jakiego niegdyś z powodzeniem wypróbował Boccacio, i oddają się c o n a m o r e antiepidemicznym rozrywkom zapustnym, które, jak to poprzemy wnet bardzo bliskim przykładem, właśnie są w stanie produkować jednego mniej więcej chorego na dzień? Tak jest w rzeczy samej! Każdy prawie bal, piknik, „tańcująca herbata" i t. d., czy też maskarada każda śmiało dostarczyć może bez względu na geograficzne położenie miejscowości, urządzającej sobie zapusty, przeciętnie jednego chorego, a gdyby n. p. JE. pan gubernator astrachański był swój sanitarno-policyjny raport w dzień po maskaradzie akademickiej układał nie w Astrachanie, ale we Lwowie, to byłby musiał wspomnąć w nim nawet o dwóch chorych...

Chwała Bogu jednak dotychczas nie mamy powodu obawy, aby ktoś o nas raportował w sposób, praktykowany przez wymienioną wyżej ekscelencyę. Co prawda trochę, troszeczkę czujemy się deranżowanymi sąsiedztwem, na którem spoczęła

okrutna ręka przeznaczenia, lecz otuchy nie pozbyliśmy się wcale w obec gorliwego zajęcia się ochronnemi środkami ze strony zarówno rządów, jak reprezentantów wiedzy. Nawet najzatwardzialsi ignoranci zapewne przyznają dziś w duszy, że postęp wiedzy przydać się na coś może ludzkości, przydać się może choćby na odwrócenie od niej klęski, w obec której przed wiekiem jeszcze ludzie, nie wyjmując lekarzy, opuszczali ręce w rozpaczliwej nieradności. I dziś jeszcze wprawdzie medycyna nie zna radykalnego środka przeciw dżumie, przedstawiciele jej jednak nie wahają się oko w oko spojrzeć owej „dziewicy w bieliznie, z wiankiem ognistym na skroniach", która „czołem przenosi białowieskie drzewa, a w ręku chustą skrwawioną powiewa" — i przed którą, według opowieści wajdeloty

Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją,
A psy wieśniaków zarywszy pysk w ziemi
Kopią, śmierć wietrzą i okropnie wyją...

Referent sanitarny Galicji, Dr. Biesiadecki, w tych dniach zapewne już będzie miał sposobność oglądania strasznej dziewicy, gdyż z towarzyszami wiedeńskim i peszteńskim jeszcze 7. b. m. wybrał się do Warszawy, zkąd razem z lekarzami niemieckimi miał się udać prosto na widownię klęski. Poświęcenie tych mężów nauki przechodzi istotnie wszelką zwykłą miarę. Jakże w obec niego blednie n. p. bohaterstwo żołnierza, idącego na grad kul nieprzyjacielskich, albo nawet na podminowaną redutę! Tu ugodzić może jakaś jedna z tysiąca przelatujących kul, zawieść może łont przeprowadzony do miny — tam, na jednego człowieka godzą miljony, miljardy pocisków, tem straszniejszych, że mikroskopijnie drobnych, rozsianych po ziemi i w powietrzu, pocisków, od których żadna amputacja nie uwolni ugodzonego. Żołnierz naraża się w ciągu kampanii dziesięć, sto razy — lekarz w zadżumionej miejscowości co minuty, co sekundy, dniem i nocą znajduje się w walnej bitwie. W rzeczy samej można o Drze. Biesiadeckim i towarzyszach jego powiedzieć, że się udali do owej ponurej czeluści dantejskiej, nad bramą której wypisane są straszne wyrazy:

Per me si va nella città dolente:
Per me si va nell' eterno dolore:
Per me si va tra la perduta gente...

Nie dopowiemy fatalnej zwrotki z poetą: *Lasciate ogni speranza, voi che'ntrate* — ponieważ przeciwnie żywimy głęboką nadzieję, że dr. Biesiadecki wróci szczęśliwie i dla dobra ogółu zużytkuje cenny zapas dokonanych spostrzeżeń i doświadczeń

Ostatnie dni stanowić będą pod pewnym względem epokę nietylko dla tych wszystkich, co zdobyli tuziny orderów kotylionowych, ale także dla kronikarzy lwowskich wszelkiego autoramentu, w dniach tych bowiem zaszedł fakt, dzięki któremu ciekawi ci panowie od lipca b. r. nie będą potrzebowali odbywać „przechadzek" nad Pełtwią, lecz urządzą sobie swój referat bez porównania wygodniej, w formie „przejażdżek" po Lwowie, a to przejażdżek nie mizernemi wehikułami jedno lub dwukszkapowemi, ale przestronnemi prawdziwemi wagonami na żelaznych kołach i z konduktorem na koźle. Tak jest! Od lipca będziemy sobie jeździli tramwajami urągając numerowanym pegazom stójkowym, całkiem jak w Londynie lub Nowym Yorku. Jeżeli nadto ziszczą się inne jeszcze, dalej nieco sięgające zapowiedzi, mianowicie co do oświetlenia dworca krakowskiego i części placu Marjackiego światłem elektrycznem, o czem naprawdę już także „pisało w gazecie", to istotnie nie wiem, czego by więcej panowie kronikarze jeszcze sobie życzyć mogli — chyba poczty gołębiej, albo żeglugi parowej na Pełtwi. Cierpliwości panowie! i to się zrobi z czasem. Tymczasem życzmy powodzenia tramwajowi, który rzeczywiste oddać może usługi miastu, a zwłaszcza mieszkańcom odleglejszych jego przedmieść, które prędko się podniosą w skutek tego.

Wir zapustny zaostrzył snać energję dyrekcyi teatru, która w ostatnim tygodniu wyprowadziła przed kinkiety aż dwie nowości: dramat autorów „Dwóch sierót", nie mniej od tej sztuki sensacyjną „Głośną sprawę", i Zalewskiego „Damę treflową". Obie nowości doznały życzliwego przyjęcia i pomimo balów i balików zapełniły salę teatralną. *w. z.*

MYŚLI.

Kto chce być li sprawiedliwym, może zostać łatwo okrutnym. Czyżby ostał się ktokolwiek z nas przed Bogiem, gdyby Ten był jedynie sędzią sprawiedliwym, a nie był jednocześnie Ojcem miłosierdzia?

Prawdziwej wyższości dowodem, jest skromność i brak zarozumiałości.

W latach młodzieńczych zdaje nam się że wzbogacamy się każdą nową ułudą; w latach natomiast późniejszych jesteśmy o tyle bogatsi o ile ułud więcej odtrąciliśmy od siebie.

OKRUSZYNY.

LITERATURA. — SZTUKA — WIEDZA.

— W Paryżu zakończył niedawno życie mąż, który lubo obcy narodowości naszej, ma prawo do wdzięczności Polaków, a to nietylko dla tego, że szlachetne serce jego biło gorąco dla naszej ojczyzny, ale z powodu rzeczywistej zasługi, jaką nam oddał przez wykonanie owego prześlicznego medalionu spiżowego z podobizną Adama Mickiewicza, który zdobi nagrobek wielkiego poety na cmentarzu paryskim Montmorency. Mężem, o którym mowimy, był August Préault, jeden z najcelniejszych współczesnych rzeźbiarzy francuskich, przyjaciel osobisty nieśmiertelnego twórcy „Pana Tadeusza". Préault był uczniem sławnego Dawida d'Angers, którego dłuta wspaniałe popiersie Mickiewicza w marmurze białym zdobi jedną z sal lwowskiego Zakładu Ossolińskich. Syn naszego wieszcza, p. Władysław Mickiewicz, nad grobem złożył należny hołd pośmiertny zmarłemu artyście i przyjacielowi ojca i Polaków, a z przemówienia jego przytaczamy bodaj kilka następujących fragmentów: „Jedną z pierwszych prac Préaulta była statuetka powstańca lipcowego. Płomień ten z r. 1830 nie zagasł nigdy w jego duszy i wśród owego kierunku, tak trafnie przez W. Hugo „bankructwem idealu" nazwanego, nie przestał ani na chwilę stawiać oporu poziomości, zagrażającej owładnieniem sztuką. Grupy „Nędzy" i „Pariasa" objawiają czułą jego dla

cierpiących duszę. Jego „Marceau“ był to ze spiżu odlany hołd owym żołnierzom obywatelom, którym Michelet miał później poświęcić kilka najpiękniejszych swych myśli. W medalionie Adama Mickiewicza stał się tłómaczem szlachetnych uniesień Francyi dla narodu bratniego. „Czy wiesz — rzekł do mnie pewnego razu — dla czego mi się udał medalion twego ojca? — Oto dla tego, żem zapłakał na wieść o wzięciu Warszawy.“ Wspomnienie to wyjaśnia nam tajemnicę talentu Préaulta. Z głazu wydobywał uczucia, któremi dusza jego przejęta była do głębi... Co z najwyższym umiał przedstawić wyrazem, to boleść! Ktokolwiek na Pére-Lachaise widział ową głowę, całunem owiniętą, którą Michelet nazywał dziełem szczytnem a strasznem, nie zapomni jej nigdy.“

— Potrąciliśmy o pamięć nieśmiertelnego naszego Adama; na miejscu więc wspomnieć także, że świeżo wyszły w Poznaniu w drugiem, poprawionem i uzupełnionem wydaniu „Wspomnienia z r. 1848 i 49“ przez autora „Obrazów z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce“, zawierające wiele mało znanych lub nieznanych wcale szczegółów z życia Adama w czasie, zakreślonym powyższemi datami. Za przykładem innych narodów zbierajmy troskliwie promyki, mogące się przyczynić do uwydatnienia na mrocznem tle przeszłości naszych wielkich i drogich postaci. Zbierajmy, dopóki w oddaleniu czasu nie zgasną marnie! Z „Wspomnień“ pozwolimy sobie przytoczyć nacechowany niepospolitym darem charakterystyki ustęp, malujący nam niejako portret autora „Pana Tadeusza“ w pięćdziesiątym roku jego życia: „Mickiewicz był słusznej i kształtnej budowy, postać jego nosiła cechę siły i zdrowia, ale włosy na tył głowy niedbale zarzucone, zupełnie posiwiały, a czoło było głęboko pomarszczone. Gdy był pod wpływem myśli, która go żywo zajmowała, wtedy ściągały się wszystkie muszkuły jego twarzy ku oczom, jak gdyby wzrok wytężał, aby czegoś dostrzedz, ale wejrzenie jego nie miało już blasku. Jeżeli wyższa część jego twarzy oznajmiała umysł nadzwyczajnej potęgi, wskazywały naprzód wysunięte i nieco nabrzmiałe usta, na których uśmiech rzadko wtedy gościł, na dumną, zamkniętą w sobie, nieco szorstką naturę. W życiu codziennem był to Litwin z Nowogródka, zakuty Litwin ze wszystkiemi upodobaniami i nawyknieniami z czasów swojej młodości, który nienawidził wszystkiego, co tchnęło etykietą i światową wykwintnością, a lubował się w prostocie i naturalności. Prostota złączona z naturalnym dowcipem rozweselała go więcej niż najciekawsza książka“...

— Doroczny konkurs na poezye w języku francuskim, dwudziesty drugi z rzędu, ogłoszony został przez komissyę konkursową w Bordeaux pod przewodnictwem p. Ewarysta Carrance. Termin dla nadsyłania prac naznaczony na dzień 1. lipca b. r. Komissya konkursowa rozda 20 medali złotych, srebrnych i bronzowych za najlepsze utwory. Zwykle wielu Polaków ubiega się o te nagrody, a w roku zeszłym jedna z Polek została nawet odznaczoną. Rękopisma adresować należy do „p. Carrance 6. rue Molnier à Agen-Lot-et-Garonne“.

— Najnowszy obraz Matejki, ukończony już po powrocie mistrza z Włoch, „Klęska pod Warną“, o którym już wspominaliśmy na tem miejscu, w ostatnim tygodniu wystawiony był na widok publiczny w salach Towarzystwa sztuk pięknych w pałacu biskupim w Krakowie, zkąd wkrótce wysłany będzie do Warszawy, która od tygodnia zachwyca się „Grunwaldem“.

— Najnowszy obraz Siemiradzkiego, „Tancerka“ nabył świeżo w Rzymie hrabia Aleksander Orłowski za sumę 20.000 franków. Niepospolitej wartości obraz ten, który wysłany został obecnie na wystawę sztuk pięknych w Paryżu, zkąd dopiero sprowadzony będzie do Krakowa, przedstawia tak zwaną w starożytnej Grecyi Cernuę, tancerkę, stojącą w postawie w tył wygiętej i przygotowującą się do skoku, na kobiercu, którego brzegi najeżone są utkwionemi w ziemi ośmioma stalowemi włóczniami. W tle roztacza się rozkoszna kampania grecka, z grupą drzew i owitą kwiatami balustradą marmurową na drugim planie a morzem w głębi, w którego zwierciedle odbija się łańcuch gór tworzących uroczy krajobraz. Tancerce przygrywają trzy dziewice na flecie, lutni i tamborynie, a z głębi przypatruje się Grek, sparty o balustradę. W altance po prawej widać trzy kobiety i dwóch mężczyzn, przypatrujących się tancerce. We wszystkich szczegółach zarówno jak w całości najnowsze to dzieło Siemiradzkiego ma być godnem pendzla twórcy „Pochodni Nerona“.

— Wiktor Brodzki w Rzymie wymodelował w ostatnich czasach posąg Mickiewicza, uderzający życiem i podobieństwem.

— Artystyczna kolonia polska w Rzymie, dzięki takiemu serdecznemu przodownikowi, jak Siemiradzki, zwiększa się nieledwie z dniem każdym. W ostatnich czasach osiadł tam dla studyowania wzorów klasycznych utalentowany rzeźbiarz lwowski p. Tadeusz Wiśniowiecki, którego dłuta „Długosz“ przed trzema laty uwieńczony został nagrodą na konkursie warszawskim.

— Do Akademii nauk moralnych i politycznych w Paryżu, na miejsce zmarłych niedawno jej członków pp. Valete i Naudet, wybrani zostali pp. Larombiére, prawnik, i Wiktor Duruy, historyk i były minister oświaty. Lista 40 członków Akademii paryskiej jest obecnie następująca: Mignot, urodzony 1796; Dufaure, ur. 1798; Duvergier de Hauranne ur. w tymże roku; Viel-Castel ur. 1800; Dumas (J. B.) ur. w tymże roku; de Noailles, Wiktor Hugo i Cuviller-Fleury urodzeni r. 1802; Barbier ur. 1805; de Champagny i Nisara ur. 1806; Legouvé ur. 1807; Juliusz Favre, d'Haussonville i Marmier ur. 1809; Martin ur. 1810; de Falloux i Sandeau ur. 1811; Feuillet, de Laprade i Ducet ur. 1812; Karol Blanc 1813; Juliusz Simon 1814; Lemoinne 1815; Saint René-Taillandier 1817; Augier 1820; de Broglie i Roussel 1821; d'Aumale 1822; Renan i Doissier 1823; Aleksander Dumas i Emil Ollivier 1824; Caro 1826; Mezieres 1827; Taine 1828; a nareszcie Wiktoryn Sardou, najmłodszy z Akademików, urodził się roku 1831.

— Angielski miesięcznik literacki „Westminster Review“ ogłosi w kwietniowym zeszycie swym dłuższy i sympatyczny artykuł p. Morfill o Adamie Mickiewiczu i poetach polskich w ogóle.

KONKURS DRAMATYCZNY IMIENIA FREDRY.

Dnia 28. stycznia odbyło się pierwsze posiedzenie komisji dramatycznego konkursu Imienia Fredry.

Posiedzenie to komisja rozpoczęła od ukonstytuowania się i wybrawszy na prezesa p. Wł. Zawadzkiego, a na sekretarza p. Wł. Ordona — przystąpiła do przejrzenia sztuk, nadesłanych do 28. z. m. których było 16, a mianowicie: 1) „Murzynek“ komedja w 3ch aktach — 2) „Komedja bez tytułu“

komedja w 3ch aktach — 3) „Wanda i Rutygerus", komedja w 5 aktach — 4) „Wstarym piecu djabeł pali" komedja w 2 aktach — 5) „Na bezdrożach życia" komedja w 4 aktach — 6) „Kantor małżeństw", komedja w 3 aktach — 7) „Bagatela" komedja w 5 aktach — 8) „Heroina" komedja w 5 aktach — 9) „Księżna bez dachu" komedja w 3ch aktach — 10) „Gość w porę" komedja w 3 aktach — 11) „Kto górą?". dramat w 5 aktach — 12) „Wielkie fortuny" komedja w 4 aktach — 13) „Lekkoduch" komedja w 5 aktach — 14) „Słowa i czyny" komedja w 5 aktach — 15) „Portret nieskończony" komedja w 5 aktach — 16) „Brat i Siostra", komedja w 5 aktach. Rezultatem tego przeglądu było usunięcie lub uchylenie niektórych utworów nadesłanych na konkurs a mianowicie:

Dramat „Kto górą", w 5 aktach jako nieodpowiadający warunkom konkursu Imienia Fredry rozpisanego wyłącznie na komedję, usunięto z pod obrad.

Komedja w 5 aktach p. t. „Portret nieskończony", jako nieodpowiadająca warunkom scenicznym została uchyloną, równie jak

Komedja w 5 aktach „Wanda i Rutygerus" z dwóch przyczyn: 1) iż znajdowała się już na konkursie krakowskim tylko pod innym tytułem; 2) ponieważ nie odpowiada warunkom scenicznym.

Następnie członkowie komisji rozebrali pomiędzy siebie część nadesłanych sztuk do przeczytania i zdania z nich sprawy na drugiem posiedzeniu, które naznaczono na dzień 1. Lutego, jako dzień zamknięcia konkursu.

1. Lutego po zagajeniu posiedzenia komisja powzięła do wiadomości iż od dnia 28. stycznia do 1. Lutego, dnia upływu terminu nadsyłania, nadeszło jeszcze sztuk 23. Konkurs zamknięto i przystąpiono do przejrzenia tych sztuk nadesłanych na konkurs pomiędzy 28. Stycznia a 1. Lutego.

Było ich 23 pod następującymi tytułami. Przypominamy, że nadeszłych przed 28 sztuk na konkurs było 16, dlatego w liczeniu zaczniemy od: 17) „Dwóch konkurentów", komedja w 3 aktach — 18) „Zabiegi", komedja w 4 aktach — 19) „Zbłąkani" komedja w 3 aktach — 20) "Który z nich socja lista", komedja w 2 aktach — 21) „Rada panny Barbary", komedja w 2 aktach — 22) „Komedja Fredry", komedja w 2 aktach — 23) „Corpus delicti", obraz historyczny w 6 aktach — 24) „Jakie ideały, takie i reały", obraz komiczny w 6 aktach — 25) „Kto kogo podszedł", komedja w 1 akcie — 26) „Raj i piekło", obraz dramatyczny w 3 aktach — 27) „Dwaj warjaci", komedja w 3 aktach — 28) „Szlachetna córka", komedya w 3 aktach — 29) „Wyższe wyroki", dramat w 5 aktach — 30) „Koral", komedja w 1 akcie — 31) „Dziad ojciec i wnuk", komedja w 5 aktach— 32) „Na dwóch stołkach", komedja w 2 aktach — 33) „Tylko pozór", komedja w 1 akcie — 34) „Czekaj końca", komedja 3 aktach — 35) „I starzy i młodzi" komedja w 3 aktach— 36) „Matka i córka", komedja 3 aktach — 37) „Wilki w owczarni", komedja w 5 aktach — 38) „Pan Izydor" komedja w 5 aktach — 39) „Kochać, kochać", komedja w 4 aktach. Z tych sztuk usunięty został odrazu z pod obrad dramat „Wyższe wyroki", z powodu iż nie odpowiada warunkom konkursu Imienia Fredry wyłącznie rozpisanego na komedje.

Następnie referenci należący do komisji zdawali sprawę ze sztuk wziętych przez nich do przeczytania na 1. posiedzeniu. W tym względzie złożono następujące opinje:

Komedji „Gość w porę" referent nie zaleca komisji do gremjalnego czytania. Komedję w 3ech aktach p. t. „Komedja bez tytułu" — referent poleca do czytania.

Komedja „Wielkie fortuny" została uchyloną na wniosek referenta, poparty następującemi motywami: iż, 1) treść jej jest przedmiotem już spożytkowanym na scenie przez jednego z naszych wybitniejszych autorów, i to daleko lepiej — 2) że komedja ta należy do tak zwanych „okolicznościowych" utworów — obecnie nie jest na czasie; 3) charaktery w niej są blade, szablonowe, treść nie zajmująca; 4) iż nadto niepotrzebnie autor wstawił w nią scenę narady posłów, niestanowiącą integralnej części sztuki, nie związaną z biegiem akcji, — będącą raczej nie w miejscu umieszczoną satyrą, niż sceną należącą do sztuki, którąby się doskonale bez niej obyła.

Komedja w 2. aktach p. t. „W starym piecu djabeł pali" została uchyloną, na wniosek referenta, motywowany tem, iż nie odpowiada warunkom artystycznym.

Komedja w 3. aktach p. t. „Kantor małżeństw," została usuniętą z pod obrad, na wniosek referenta, z przyczyny, iż była już grana na teatrach prowincjonalnych w Królestwie.

Rozebrali następnie członkowie komisji pomiędzy siebie część nadeszłych w ostatnich dniach sztuk do przeczytania i zdania z nich sprawy na następnem posiedzeniu.

Tą ostatnią czynnością posiedzenie drugie komisji konkursowej zamknięto.

PAMIĄTKI.

— Bibliotekarz wszechnicy w Ryszmondzie, w Stanach Zjednoczonych Ameryki p. Wilchelm Wertenbaker, ogłosił niedawno następujące ciekawe dokumenta, odnoszące się do pamiętnego aktu darowizny, uczynionej ze strony Tadeusza Kościuszki na rzecz murzynów amerykańskich, kiedy bohater nasz opuszczał wyzwoloną już z pod panowania Anglików ojczyznę Washingtona, która za położone około wyzwolenia tego zasługi obdarzyła go była znacznemi obszarami ziemi: „Ja, Tadeusz Kościuszko przygotowując się właśnie do wyjazdu z Ameryki, oświadczam i rozporządzam niniejszem, że gdybym nie zrobił innej dyspozycji moją własnością w Stanach Zjednoczonych, mój przyjaciel Tomasz Jefferson, jest upoważniony do użycia całej tej własności na wykupienie murzynów, czy z pomiędzy własnych czy do innych osób należących, tudzież do obdarzenia ich wolnością w mojem imieniu, po nadaniu im stosownej edukacji w rzemiosłach lub innych rzeczach, oraz po nauczeniu ich stosownie do nowego stanu owych obowiązków moralności, która może ich zrobić dobrymi sąsiadami, ojcami i matkami, i obowiązków obywatelstwa, pouczających, że mają być obrońcami swobody, ojczyzny i ładu społecznego, jakoteż wszystkiego cokolwiek może ich uczynić szczęśliwymi i użytecznymi. Zarazem mianuję rzeczonego Tomasza Jeffersona egzekutorem niniejszej woli. Dnia 5. Maja 1798. T. Kościuszko." Na ćwiartce dodanej do testamentu czytamy: „Przed obwodowym sądem zasiadającym w hrabstwie Albemarle d. 12. Maja 1819: Niniejszy dokument, który jest ostatnią wolą i testamentem Tadeusza Kościuszki, został przedłożony sądowi, a po dostarczeniu dowodów, iż był napisany własną ręką rzeczonego Tadeusza

Kościuszki, nakazano wciągnąć go w pamiętnik trybunału, poczem Tomasz Jefferson, egzekutor wymieniony w nim, uchylił się od brzemienia wykonania rzeczonej woli. *Teste* John Carr *At, a Circuit Court held for Albemarle County, the 12th day of May, 1819*).

ARCHEOLOGIA.

— Ze sprawozdania, przedłożonego krakowskiej Akademji umiejętności, z wycieczek archeologicznych p. A. Kirkora na Podolu galicyjskiem, odbytych latem roku zeszłego, wyjmujemy następujące w wysokim stopniu zajmujące szczegóły: Już poprzednie wycieczki p. Kirkora dały możność utworzenia pewnych teoryj tak co do rodzaju grobów przedhistorycznych, jak i pod względem obrzędów pogrzebowych, nadto o stopniu kultury mieszkańców z owej odległej epoki na porzeczu Dniestru i jego dopływów. Dla poparcia teoryj owych p. Kirkor tym razem przeważnie badał zabytki pierwotne w południowej części Podola, nad Dniestrem, Seretem, Strypą, Cyganką, Niecławą, Dżurynem i Zbruczem. Jakoż zdał sprawę ze zbadania grobu kamiennego w Koszyłowcach, grobów płytowych w Wierzchniakowcach, Wołkowcach, Bilczu i Gródku; grobów kurhanowych w Żnibrodach, mogiły w Chmielowie, cmentarzysk ciałopalnych w Kozaczyznie i Wierzchniakowcach; grobu ciałopalnego w Beremianach, oraz niektórych horodyszcz. O sławnej jaskini w Bilczu niejednokrotnie już pisano, nigdy jednak dotychczas nie była zbadaną dokładnie, a tymczasem wstęp do niej z powodu zwiększającego się z każdym wylewem namułu staje się coraz trudniejszym. P. Kirkor zdołał przepełznąć 260 metrów w głąb jaskini, porobić wymiary i utworzyć dokładny plan przebytej przestrzeni, co głównie zawdzięcza inżynierom pp. Kowalewskiemu i Petionowi, którzy w wyprawie tej udział wzięli. Kopanie dołów w kilku miejscach przekonało, że na pięć metrów głębokości zawsze był namuł i dna jaskini nie odkryto. Ale w kilku miejscach w namule natrafiono na kości i czaszki ludzkie, przy nich zaś na zdobne, malowane skorupy od dużych naczyń glinianych, pod względem barw, pięknego i nader starannego wyrobu w niczem nieróżniących się od podobnych malowanych skorup, jakie już przedtem zostały odkryte przez p. Kirkora w grobie na niwie Diwicz nad Zbruczem, na cmentarzysku w Horodnicy (Miodoborskiej), oraz w kilku innych grobach i na cmentarzyskach. Ponieważ w ostatnich czasach u niektórych archeologów zrodziła się wątpliwość, ażali tak nazywany wał Trajana na Podolu nie jest terramarą, p. Kirkor zbadał cały bieg tego wału w kierunku Zbrucza, od Germakówki aż do Bielowców nad Dniestrem, porobił w kilku miejscach pomiary, oraz przekopy i przyszedł do przekonania, że wał ten wcale terramarą nie jest, ale ręką ludzką usypany. Przestrzeń zbadanego, dziś jeszcze widocznego wału wynosi 12 kilometrów, 400 metrów. Dzięki też panu Stan. Grzegorzewskiemu, inżynierowi obwodowemu, który w tej wycieczce uczestniczył, mamy dziś dokładny plan całego przebiegu tego wału. Plan ten znajdzie miejsce w wydawnictwach Akademji. Wyliczając miejscowości w okolicy wału, gdzie wiele pięknych bronzów, oraz monet rzymskich znaleziono, wspomniał p. Kirkor i o sławnym skarbie w Michałkowie, jako do tegoż terenu należącym, podając prawdziwe szczegóły odkrycia skarbu, dziś zdobiącego muzeum hr. W. Dzieduszyckiego. W końcu podał wiadomość o takimże wale istniejącym w Bessarabii i w guberni Podolskiej pod panowaniem rosyjskiem, a nadto wykazał zdania historyków o tym wale. Muzeum Akademii wzbogacił p. Kirkor zdobytemi wykopaliskami, oprócz bowiem 39 czaszek ludzkich z grobów wydobytych, złożył przeszło 80 przedmiotów znalezionych w grobach, na cmentarzyskach ciałopalnych i horodyszczach, z kamienia i krzemienia, z bronzu, żelaza, srebra, złota, z szkła, kości i gliny. Do dawniej odkrytych okazów ceramicznych barwnie malowanych, przybyły jeszcze z trzech miejscowości: z Bilcza, Kozaczyzny i Wierzchniakowiec, gdzie drugie już cmentarzysko ciałopalne odkryte zostało.

PRZYGODY ŻEGLARZY.

— Francuski malarz p. Le Pic, przepędzający zimę w Berck nad morzem, przesłał dziennikowi Gaulois taką opowieść: „Wybrawszy się wczoraj na pełne morze, spostrzegliśmy ku największemu swemu zdziwieniu łódkę rybacką, której ruchy uderzały niezwyczajnością. Dziesięć razy przynajmniej zmieniła w oczach naszych kierunek; bieg jej był niepohamowany i prawie szalony! Zwróciłem na tę okoliczność uwagę moich majtków i popłynęliśmy ku tej tajemniczej łódce, a dobiwszy do niej cóż ujrzeliśmy? Oto ośmiu nieszczęśliwych żeglarzy przymarzniętych do ławek — nieżywych! Nie mam słów na oddanie wrażenia, jakiego doznaliśmy wszyscy na ten widok. Smutna ta łódź bez żagli, unosząca ośm trupów, przedstawiała istotnie coś dziwnie fantastycznego. Majtkowie moi nie wyrzekłszy i słowa pod wrażeniem grozy, przyczepili tę pływającą trumnę do łodzi i przyholowali ją do przystani Etaples, gdzie doniesiono o wypadku władzy. Łódź tę, która jak się pokazało pochodziła z Equitem w pobliżu Boulogne, zapewne porwała burza na pełne morze, a biedni osadnicy jej zaskoczeni mrozem, nie mogąc dobić do lądu kostnieli powoli i zmarli jeden po drugim.“

DROBNOSTKI.

— Niedawno pożar zniszczył cenne muzeum Szekspirowskie w Birminghanie, otóż z tej okazji jedno z czasopism londyńskich podało plan, mający na celu ubezpieczenie tego rodzaju pamiątek od podobnych katastrof. Plan ten polega na tem, ażeby już przy zakładaniu budynków muzealnych zastosowywano urządzenia ochronne. I tak najcenniejsze skarby archeologiczne: zabytki, pamiątki, rzadkie książki, rękopisma i t. p. należy przechowywać nie w szafach lub witrynach, częstokroć sięgających aż pod powałę i zamykanych na sztuczne zamki, ani też w lokalnościach piętrowych, ale tylko w parterze budynku i w skrzyniach, które na kołach poruszałyby się po torze kamiennym albo żelaznym, prowadzącym przez osobny otwór w ścianie prosto na podwórze. W razie pożaru skrzynie takie dałyby się z łatwością w jednej chwili wytoczyć na podwórze za pomocą łańcucha, którego jeden koniec byłby uwiązany do skrzyni, a drugi sięgał do przedsionka. Nadto tory, czyli rodzaj miniaturowego tramwaju, na których stałyby skrzynie, założyć można nieco pochyło z lekkim spadkiem ku podwórzu, co ułatwiłoby jeszcze prędsze usunięcie skrzyń z objętego ogniem gmachu. Siły jednego dozorcy w danym razie wystarczyłyby do uratowania skarbów muzealnych.

Rozmaitości.

Polowanie na kozice. Pewien myśliwy tak opowiada wyprawę na to rzadkie i płochliwe stworzenie: „Zaproszeni przez przyjaciół naszych z Liptawskiego komitetu, przybyliśmy z początkiem Września do S. i wzięliśmy udział w polowaniu, na którem w dwóch dniach zabito 8 kozłów. Następnie zebrało się całe grono myśliwskie w V. Damy przyjęły nas z całą węgierską uprzejmością, a panowie rychło z nami zawiązali stosunek serdeczny: Na trzech wozach wyruszyliśmy na Krywań w celu spotkania się z kozicami. Po dwóch godzinach jazdy, a trzech godzinach dosyć forsownego marszu, stanęliśmy o schyłku dnia na miejscu oznaczonem i gdzie uprzejmy gospodarz przygotował nam wcale wygodne na noc schronienie. Rozłożyliśmy się więc i wybiegliśmy dla obejrzenia miejscowości. Szałas łowiecki postawiono po stronie północnej, więcej jak sto sążni wysokiej skały Krywania, na polanie otoczonej liszbami i dębami. Właśnie zajaśniała pełna tarcza księżyca na horyzoncie, przy którego mdłem świetle wydawały nam się bliskie szczyty skaliste niezmiernej dosięgające wysokości. W pobliżu huczał wspaniały wodospad. Pan M. objął urząd kuchmistrza i piwniczego. Korzystając z pięknej pogody, spożyliśmy wieczerzę pod gwiaździstem niebem, przed szałasem. Stół i ławka zaimprowizowana, na bliskim ściętym pniu i rozłożono ogień, który całą miejscowość oświetlał. Zasiedliśmy, gdzie kto mógł, i żwawo zabraliśmy się do zaspokojenia łaknących żołądków naszych. Wesoło ubiegały chwile wśród toastów, opowiadań myśliwskich, dowcipkowania — aż nareszcie około północy ułożyliśmy się do snu błogiego. O godzinie siódmej wysłaliśmy trzech naganiaczów pod dowództwem Śliwki na południowo zachodnią stronę Krywania. My także udaliśmy się na przeznaczone stanowiska. O dziewiątej miano rozpocząć łowy. Myśliwi stali pod północną, około 800 kroków długą, stromą skałą Krywania, w równej linji. Ponieważ naprzód oświadczyłem, iż do kozic strzelać nie chcę, umieściłem się po za linią strzelców na pagórku, zkąd miałem wyborny pogląd na przesmyki kozic i na cały szereg strzelców. Gospodarz nieco dalej podobne mojemu zajął stanowisko. Był to dzień cichy, pogodny i ciepły. Powietrze tak było czyste, iż pojawiającą się zwierzynę można było na 1000 kroków dostrzedz. O pół do dziesiątej odezwał się ze szczytu przed nami sterczącej skały jakiś jakby metaliczny szmer, a po kilku sekundach ujrzeliśmy kilka kozic, w swobodnych podskokach spuszczających się ze skalistej ściany. W stronie ostatniego myśliwego wiła się w szerz po skale wąziutka ścieżynka. Jeden wystrzał, drugi trzeci. Widzę po nad strzelcami wznoszący się obłok dymu, lecz niepodobno strzałów odróżnić, w tysiącznem bowiem odbiciu zlewają się one z sobą, rozlegają się po ciemnych przepaściach i lasem uwieńczonych szczytach, jak grom wzruszający ziemi powłokę. Wreszcie po chwili widzę na jednym końcu linji strzeleckiej padające trzy kozice. Jedna część wypłoszonych kozic przerżnęła się praez linię strzelców i podążyła ku Grabemu Wierzchowi, druga przemknęła wzdłuż stromej ściany nazad ku szczytowi Krywania. Podczas gdy rozkoszuję się widokiem tych pięknych zwierząt, słyszę w pobliżu moim szmer. Stara samica idzie prosto na mnie, a za nią czworo młodych. Nie spostrzegły mnie. Niema pomiędzy niemi kozła — już on zakończył dni swoje pełne chwały na dnie przepaści. Za żadne skarby świata nie strzeliłbym do tego, ożywiającego majestatyczną przyrodę gór, gronka rodzinnego. Wzrok mój napawałem tym wspaniałym widokiem i szczerze życzę wszystkim czcicielom bogini Diany takiej rozkoszy — lecz nie trafnego strzału. W Karpatach sto razy więcej kozic, jak ich jest teraz, swobodnie żyć może. Łaski więc dla nich! Na trzy kroki odemnie przemknęły. Gdy mnie pominęły, pożegnałem je powiewem kapelusza i głośnym okrzykiem. Przerażone uciekły w szalonych susach i na szczytach Grubego Wierzchu znikły mi z oczów.

Nowy Otello. Przed sędziami przysięgłymi w Rouen, stawał niedawno niejaki Hejda, urodzony w W. ks. Poznańskiem, który uciekł z armji pruskiej. Proces jego nie należał do pospolitych i dla tego opowiemy go w krótkich słowach. Hejda służył w r. 1870 w pruskiej armji północnej, która obsadziła Normandję; kilka pułków stało w Rouen. Hejda otrzymał kwaterę u szwaczki Morin, której reputacja nie należała do najlepszych. Wkrótce Hejda tak się rozkochał w swojej pięknej gosposi, że gdy nadeszła chwila rozstania, rozłączył się z nią z sercem prawdziwie zakrwawionem. Pani Morin zapomniała rychło o tym związku, to też nie mało była zdziwioną, gdy we dwa lata później zobaczyła nagle Hejdę w Rouen. Hejda przyszedł prosto z Metzu, gdzie stał załogą. Nie mogąc dłużej żyć w rozłące, uciekł z wojska, aby ze swoją najdroższą w Rouen się połączyć. Wojskowe władze szukały go w Poznaniu, gdy on tymczasem przy boku lubej śpiewał dalej pieśń miłości, którą tak nagle przerwało było zawarcie pokoju. Wszystko szło pięknie i dobrze, półtrzecia roku minęło jakby jeden miesiąc miodowy — aż nagle — z powodów, których sam sąd zbadać nie umiał, piękna szwaczka wyrzuciła na ulicę „kleinigkeity“ exżołnierza, a jemu samemu surowo wzbroniła pojawiać się w jej domu, który po części już za swój uważał. Hejda zrozpaczony kupił rewolwer, wpadł do mieszkania kochanki i byłby ją z pewnością zastrzelił, gdyby nie okoliczność, że skutkiem jakiejś przeszkody broń nie wypaliła. Na jej krzyk zbiegli się lokatorowie, co widząc Hejda wyjął brzytwę i chciał się nią poderżnąć, lecz tylko się skaleczył. Wyleczony stał teraz przed ławą przysięgłych. Na zapytania sędziów, odpowiedział spokojnie, że chciał zabić najpierw ją, potem zaś siebie, gdyż tak ją kochał, że bez niej żadną miarą żyć nie mógł. Przysięgli łagodnie się z nim obeszli, gdyż go skazali tylko na pięcioletnie więzienie.

Zalety Ameryki. Członek kongresu amerykańskiego tak sławi zalety swojej ojczyzny: Ameryka jest krajem wspaniałym! Ma najdłuższe rzeki, które szybcej płyną, wyżej się wznoszą, znacznie większy szum sprawiają i większe szkody wyrządzają, niżeli wszystkie inne rzeki na świecie. Ma najwięcej jezior, które są większe, głębsze i bardziej wilgotne, niż jeziora innych części świata. Nasze wagony kolejowe są przestronniejsze, skutkiem czego łatwiej się wykolejają i więcej ludzi zabijają, niż gdziekolwiek indziej. Nasze statki parowe dźwigają większe ciężary, dla tego i kotły częściej na nich pękają, pasażerowie wyżej w powietrze wylatują, a kapitanowie lepiej klną, aniżeli w którymkolwiek innym kraju. Nasi mężczyzni są słuszniejsi i grubsi, częściej się biją, wypijają więcej wódki, żżuwają więcej tytoniu i dalej plują, niż mężczyzni każdego innego narodu. Nasze damy są bogatsze, piękniejsze, wydają więcej pieniędzy i częściej mężów zmieniają, niż damy w innych częściach świata. Nasze dzieci nakoniec głośniej krzyczą, prędzej rosną i o kilka miesięcy wcześniej kończą 20 lat, niż dzieci w którymkolwiek innym kraju.

Prawdziwy filozof. Pewien filozof mieszkający w Sacramento, pochwycił list, w którym jakiś jegomość prosił jego małżonkę o rendez-vous w godzinach poobiednich. Cóż pan mąż uczynił? Zapewne wyjął rewolwer, nabił i stanął na czatach? Bynajmniej! Z najzimniejszą krwią w świecie schował fałszywe zęby swojej żony do kieszeni, ucałował dzieci, wziął w usta cygaro i wyszedł na przechadzkę, najpewniejszy, że z miłosnej schadzki nic a nic nie będzie.

Znalazł swój swego. W pewnem miejscu kąpielowem siedział jakiś Węgier przy stoliku, przy którym pił czarną kawę poważny jegomość. — „Piękne powietrze — przemówił Węgier — takie same, jak u nas. Jestem Terebessy Arpad — dodał dumnie wąsa pokręcając — wicežupan w komitecie Awerskim... Z kim mam przyjemność?“ — „A ja jestem Jan, król saski“ — odparł zapytany. — „Tak! — zawołał Węgier głową potrząsając i wąsa kręcąc — to także niezła posada!“

Miodowe miesiące. Pewna Amerykanka bardzo młoda i śliczna, spotkała w Paryżu jednego ze znajomych. — Cóż pani tu porabiasz? zapytał. — „Spędzam w Paryżu moje miesiące miodowe“. — A mąż pani? — „Zostawiłam go w Nowym-Yorku.“

Dobra odpowiedź. Do pewnej autorki, która słynie z pięknych powieści, przyszła koleżanka, pisująca bardzo liche wiersze i zastała ją przy szyciu koszuli. — „Boże! — zawołała poetka — pani szyjesz koszule, zamiast pisać takie książki cudowne!“ — „Nic dziwnego — odpowiedziała powieściopisarka — nie raz już słyszałam, że książek jest za wiele na świecie, a jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się słyszeć, by koszul było zu wiele.“

W drukarni narodowej W. Znanieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.